

Poul Anderson

Ludzie Nieba

Poul Anderson od z górą pięćdziesięciu lat jest jednym z twórców najbardziej wiernych przygodowej fantastyce i prawdopodobnie stworzył jej więcej niż którykolwiek inny pisarz, utrzymując przy tym poziom nie tylko stały, lecz niesłychanie wysoki - prawdę mówiąc, jeśli któryś z autorów powojennego pokolenia zasługuje na tytuł ojca współczesnej space opery, to tylko Anderson. No może jeszcze Jack Vance mógłby konkurować do tego tytułu. Podobnie jak on, Anderson wciąż jeszcze, w późnych latach dziewięćdziesiątych, pisze znakomicie, w godny podziwu sposób konkurując wyobraźnią i rozmachem z pracami współczesnych Young Turks. Na przykład Genesis, jego powieść z 1995 roku, jest współczesną space operą równie złożoną, pomysłową i zgodną z obecną wiedzą jak cokolwiek spłodzonego przez pisarzy młodszych od niego o dziesięciolecia (wielu spośród nich jeszcze się nie urodziło, kiedy zaczynał pisać) i mogłaby się z powodzeniem znaleźć w kontynuacji tej antologii.

Anderson zamierzał zrobić karierę naukową, skończył fizykę na University of Minnesota, lecz literatura okazała się bardziej kusząca i nigdy nie pracował w początkowo wybranym zawodzie. Pisał coraz lepiej i w późnych latach pięćdziesiątych oraz wczesnych sześćdziesiątych można uznać go za najbardziej płodnego pisarza pokolenia, a w połowie lat sześćdziesiątych również za najbardziej poważanego i honorowanego. W pewnym momencie (oprócz innych prac poza cyklami i pomniejszych serii, takich jak opowiadania Hoka pisane we współpracy z Gordonem R. Dicksonem), Anderson prowadził jednocześnie trzy najbardziej popularne i prestiżowe serie: Technic History opowiadającą o wyczynach przebiegłego handlarza Nicholasa van Rijna (w której znalazły się powieści Wojna skrzydlatych, The Trouble Twisters, Sa-tan's World, Mirkheim, The People of the Wind oraz zbiory Tra-der to the Stars i The Earth Book of Stormgate); niesłychanie popularną serię opisującą przygody gwiazdnego tajnego agenta Dominica Flandry'ego, prawdopodobnie obok powieści cyklu Demon Princess Jacka Vance'a najbardziej udane skrzyżowanie fantastyki z dreszczowcem szpiegowskim (wśród tekstów o Flandrym są powieści A Circus of Hells, The Rebel Worlds, The Day of

Their Return, Flandry of Terra, A Knight of Ghosts and Shadows, A Stone in Heaven i The Game of Empire oraz zbiory, m.in. Agent of the Terran Empire); w końcu, moją ulubioną, serię zabierającą nas na służbę wraz z agentami Patrolu Czasowego (kompletny

zbiór w dwóch tomach: *The Shield of Time* i *The Time Patrol*) [po polsku ukazał się najwcześniejszy zbiór *Strażnicy czasu*].

Trudno wyrazić, jak bardzo było to zdumiewające, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę mniejszy tłok w obecnym świecie fantastyki. Można powiedzieć, iż wrażenie jest takie, jakby odkryło się, że trzy najbardziej popularne cykle - powiedzmy, powieści Asimova o robotach, seria Orsona Scotta Gardy o Enderze i książki Anne McCaffrey o jeźdźcach smoków - zostały w rzeczywistości napisane przez jedną osobę.

*Efekt był wstrząsający - a jeśli dolożyć jeszcze najlepsze powieści Andersona nienależące do żadnego cyklu, takie jak *Brain Wave*, *Trzy serca i trzy lwy*, *Oblicze nocy*, *The Enemy Stars* oraz *Wielka krucjata*, stanie się oczywiste, że Anderson dominował w okresie poprzedzającym *New Wave* w sposób, któremu dorównać mogliby jedynie Robert A. Heinlein, Isaac Asimov i Arthur C. Clarke. Podobnie też jak oni, pozostał postacią aktywną i nadal dominującą w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, jak również teraz, niemal pod koniec wieku, wciąż pojawia się na listach bestsellerów.*

*Niemal każde z najlepszych opowiadań z dowolnego cyklu Andersona nadawałoby się do tej antologii. Z początku skłaniałem się ku jednemu z tekstów z cyklu *Time Patrol*, potem wahałem się -*Dominic Flandry* czy *Nicholas van Rijn*, a może jakaś pozycja spoza cykli, wciąż jednak powracałem do dużej, wartkiej i solidnej opowieści, poruszającej historii, barwnej i pełnej akcji, która pomimo zawadiackiego wymachiwania mieczami dotyka materii delikatnej i pełnej głębi: czym w gruncie rzeczy jest cywilizacja? I czy można być pewnym, że w ogóle zdola się ją rozpoznać? W trakcie swej trwającej pięćdziesiąt jeden lat kariery Poul Anderson opublikował ponad sto książek (w kilku różnych gatunkach, oprócz fantastyki pisał bowiem również powieści historyczne, fantasy i kryminały), sprzedał setki krótkich form na wszystkich znanych rynkach, wygrał siedem nagród Hugo, trzy Nebula oraz Tolkien Memorial. W 1998 roku otrzymał *Grandma-ster Nebula* za całokształt twórczości. Wśród jego książek są: *Tau Zero*, *Orion Shall Rise*, *Zaklęty miecz* i *The Boat of a Million Years*. Krótkie formy zostały zebrane w *The Queen of Air and Darkness and Other Stories*, *The Earth Book of Stormgate*, *Fantasy*, *The Unicorn Trade* (we współpracy z Karen Anderson), *Past**

Times, *Explorations* i wielu, wielu innych [po polsku w zeszytach „*Iskier*”: *Nie będzie rozejmu z władcami*, *Psychodrama*, *Księżyc łowcy*. *Królowa powietrza i mroku*. *Pieśń pasterza*]. Najnowsze pozycje jego autorstwa to tetralogia: *Harvest of Stars*, *The Stars Are Also Fire*, *Harvest the Fire* i *The Fleet of Stars*. Anderson mieszka w Orinda, w Kalifornii, z żoną Karen, z którą czasem wspólnie piszą.

Piracka flota dotarła na miejsce tuż przed świtem. Z wysokości półtora kilometra, na której się znajdowała, ląd był błękitnawoszary, przydymiony mgłami. Kanały nawadniające połyskiwały w pierwszych promieniach dnia jak wypełnione rtęcią. Na zachodzie lśnił ocean, jego odległa krawędź przechodziła w fioletową poświatę i kilka gwiazd.

Loklann sunna Holber przechylił się nad relingiem okrętu flagowego i skierował teleskop na miasto. Pojawiło się w soczewkach bezładnym skupiskiem ścian, płaskich dachów i kwadratowych wież obserwacyjnych. Wstające słońce podbarwiało iglice katedr na różowo. W powietrzu nie było żadnych balonów zaporowych. Plotka, że Perio pozostawiło swoje dalekie prowincje własnemu losowi, musiała być prawdziwa. Czyli dające się przenieść skarby Meyco powędrowały dla bezpieczeństwa do S'Antón - co oznaczało, że warto na nie napaść. Loklann uśmiechnął się.

- Lepiej zejdźmy na sześćset metrów - zasugerował Robra sunna Stam, mat z „Buffalo”. - Dla pewności, że ludzie nie zostaną zwiani na bok, na niewłaściwą stronę murów miejskich.

- Aye - szyper skinął głową w hełmie. - Sześćset, niech będzie. Na tej wysokości, gdzie tylko wiatr i skrzywienie takielunku mąciły ciszę, ich głosy brzmiały dziwnie głośno. Niebo wokół piratów było mrocznym ogromem, podbarwionym złotawą czerwienią na wschodzie. Rosa osiadła na podwyższonym pokładzie rufowym. Ani sygnał grany na długich drewnianych rogach, ani dobiegające z oddali rozkazy wykrzykiwane na sąsiednich statkach, ani tupot stóp załóg, klekot kabestanów i ręcznych sprzężarek w jakiś sposób nie zakłócały ciszy. Dla Ludu Nieba podobne odgłosy należały do tych wysokości.

Pięć potężnych okrętów wolno spływało spiralą w dół. Pierwsze promienie słońca błyskały na połączonych figurach osadzonych na ostrych dziobach gondol i mieniły się na ekstrawaganckich wzorach namalowanych na komorach z gazem. Żagle i stery odcinały się niewiarygodną bielą od zanikającej ciemności na zachodzie.

- O, coś nowego - powiedział Loklann. Obserwował port przez teleskop. - Co to może być?

Podał teleskop Robrze, który podniósł go do swego jedyne go oka. W szklanym kręgu widział kamienne doki i magazyny mające setki lat, pochodzące z czasów świetności Perio. Teraz użytkowano mniej niż jedną czwartą portu. Normalna gromada nędznych kutrów rybackich, pojedynczy szkuner przybrzeżny i... tak, na Oktaia Burzotwórcę, coś monstrualnego, większego niż wieloryb, o siedmiu niewiarygodnie wysokich masztach!

- Nie wiem - mat opuścił teleskop. - Cudzoziemiec? Ale skąd? Na pew-no nie z tego kontynentu...

- Nigdy nie widziałem takiego ożaglowania - powiedział Loklann. - Rejowe na stengach głównych masztów, poniżej skośne.

Pogłaskał krótką bródkę, która w porannym świetle jarzyła się jak polerowana miedź; był blondynem o niebieskich oczach, rzadkim nawet wśród Ludzi Nieba, a niespotykanym nigdzie indziej.

- Oczywiście - ciągnął - nie jesteśmy specjalistami w statkach morskich. Widujemy je tylko po drodze.

W jego głosie brzmiała dość uprzejma pogarda, żeglarze byli przynajmniej dobrymi niewolnikami, lecz oczywiście dla wojownika właściwy jest tylko okręt powietrzny za granicą, a w domu koń.

- Prawdopodobnie handlarz - uznał w końcu. - Przejmujemy go, jeśli tylko się uda.

Skupił się na pilniejszych problemach. Nie miał mapy S'Antón, nigdy jej nie widział. Znajdował się na południowych granicach wypraw łupieżczych Ludzi Nieba. Dalej mało kto w ogóle dotarł; w minionych czasach statki powietrzne były zbyt prymitywne, a Perio zbyt silne. Dlatego też Loklann musiał dokładnie obejrzeć miasto z góry, przez snujące się białe opary i opracować plan - niezbyt skomplikowany, bowiem do przekazywania rozkazów na inne statki miał jedynie flagi sygnałowe i wyposażonych w megafony obwoływaczy o beczkowatych klatkach piersiowych.

- Ten wielki plac przed świątynią - mruknął. - Tam wylądują nasze oddziały. Niech ludzie ze „Stormcloud” zajmą ten wielki budynek na wschód od niego... popatrzmy... wygląda jak siedziba wodza. Wzdłuż północnego muru typowe koszary i plac musztry... „Coyote” powinien dać sobie radę z żołnierzami. Niech ludzie z „Witch of Heaven” wylądują w dokach, opanują stanowiska dział nadmorskich i ten dziwny statek, a potem dołączą do ataku na garnizon. Kiedy opanuję plac, podeślę wsparcie, gdzie będzie potrzebne. Wszystko jasne?

Opuścił gogle. Potężnie zbudowani mężczyźni tłoczący się wokół niego nosili kolczugi, lecz on wolał kaftan z utwardzanej skóry, w stylu Mong. Uważał, że zapewnia niemal taką samą ochronę, a jest dużo lżejszy. Miał pistolet, ale o wiele większe zaufanie pokładał w swoim toporze bojowym. Z łuku można strzelać niemal równie szybko jak z pistoletu, równie celnie - a w miarę wyczerpywania się źródeł siarki broń palna stawała się piekielnie drogą w eksploatacji.

Poczuł napięcie, zupełnie jakby znów był małym chłopcem otwierającym prezenty w Śródzimowy Poranek. Oktai jeden wie, jakie skarby czekają -

złoto, materie, narzędzia, niewolnicy, wielkie czyny bitewne i wieczna sława. Możliwe, że śmierć. Był pewien, że pewnego dnia zginie w walce; tak wiele ofiarował swoim

bogom, że nie powinni wzbraniać mu śmierci w bitwie i możliwości ponownych narodzin jako Człowiek Nieba.

- Naprzód! - zakomenderował.

Wskoczył na reling, rzucił się w pustkę. Przez chwilę cały świat wirował wokół niego; to miasto było nad głową, to „Buffalo” mignął przed oczami. Potem pociągnął za linkę i szarpnięcie uprząży ustabilizowało go w powietrzu. Wokół niego rozkwitły szkarłatne spadochrony. Oceniał siłę wiatru i ciągnąc za linki, zmienił kierunek opadania.

2

Don Miwel Caraban, calde S'Antón d'Inio, podjął maurajskich gości wystawną ucztą. To historyczne wydarzenie mogło nawet stanowić punkt zwrotny w długich dziejach powolnego upadku. (Don Miwel, który łączył w sobie rzadką kombinację zmysłu praktycznego i umiejętności czytania, wiedział, że wycofanie oddziałów do Brasil dwadzieścia lat temu wcale nie było „czasowym przegrupowaniem”. Nigdy nie powrócą. Zewnętrzne prowincje pozostawiono samym sobie). Obcy muszą zostać przekonani, że trafili na naród cywilizowany, silny i bogaty, że opłaca się odwiedzać meyczańskie wybrzeża w celach handlowych, a w końcu stworzyć sojusz przeciwko dzikusom z północy.

Bankiet ciągnął się niemal do północy. Choć niektóre stare kanały irygacyjne zamuliły się i nigdy nie zostały naprawione, tak że kaktusy i grzechotniki zamieszkały w opuszczonych pueblach, prowincja Meyco wciąż jeszcze była żyzna. W trakcie najazdu, pięć lat temu, skośnoocy jeźdźcy Mong z Tek-kas zamordowali wielu peonów; drewniane widły i obsydianowe motyki niewiele mogły wskórać przeciwko szablom i strzałom. Minie co najmniej dziesięć lat, zanim populacja wróci do normalnego poziomu i powrócą okresy głodu. Dlatego też don Miwel podał wiele dań, wołowinę, szynkę w przyprawach, oliwki, owoce, wina, orzechy, kawę, której Ludzie Morza nie znali i niewiele ich obesła. Towarzyszyły temu różne rozrywki - muzyka, zonglerzy, pokaz fechtunku w wykonaniu kilku młodych szlachciców.

W czasie uczyty chirurg z „Dolphina”, dość pijany, zaproponował, że wystąpi w wyspiarskim tańcu. Dostojni donowie wydymali wargi na widok wygibasów brunatnego, muskularnego, pokrytego tatuażami ciała.

- Nieco mi to przypomina obrzędy mające zapewnić żyzność pól odprawiane przez naszych peonów - zauważył Miwel.

Powiedział to z wymuszoną uprzejmością, co zasugerowało kapitanowi Ruoriemu Rangi Lohannaso, że peoni mają całkowicie odmienną i niezbyt miłą kulturę.

Lekarz odrzucił warkoczyk do tyłu i uśmiechnął się szeroko.

- Sprowadźmy wahiny z okrętu na brzeg i pokażmy im prawdziwe hula -powiedział w maurai-ingliss.

- Nie - odmówił Ruori. - Obawiam się, że już ich zaszokowaliśmy. Jak mówi przysłowie: „Na Wyspach Salomona uczernij skórę”.

- Oni chyba nie mają pojęcia, jak się bawić - narzekał doktor.

- Nie wiemy jeszcze, jakie mają tabu - ostrzegł Ruori. - Bądźmy równie poważni jak ci mężczyźni o spiczastych bródkach i nie śmiejemy się ani nie uprawiamy miłości, dopóki nie znajdziemy się z powrotem na pokładzie,

wśród naszych wahin.

- Ale to idiotyczne! Niech mnie Nan Rekinozęby pożre, jeśli ja...

- Twój przodekowi palą się ze wstydu - powiedział Ruori. Użył najostrzejszego upomnienia, jakie można było zastosować wobec mężczyzny, z którym nie zamierzało się walczyć. Wymówił te słowa łagodnym tonem, by jak najbardziej stępić zawarte w nich żądło, lecz lekarz musiał zamilknąć. Zrobił to, mamrocząc przeprosiny, i zaczerwieniony cofnął się w ciemny kąt pod wyblakłymi freskami.

Ruori zwrócił się z powrotem ku gospodarzowi.

- Proszę o wybaczenie, s'ńor - odezwał się w miejscowym języku. - Moi ludzie znają spanol jeszcze gorzej niż ja.

- Oczywiście.

Szczupły, czarno odziany don Miwel pochylił się w lekkim, sztywnym ukłonie. Przy tym ruchu jego miecz uniósł się zabawnie, niczym ogon. Ruori usłyszał stłumione prychnięcia śmiechu dobiegające od strony jego oficerów. Jednak, pomyślał kapitan, czy długie spodnie i marszczona koszula są gorsze niż sarong, sandały i tatuaże klanowe? Inne obyczaje, nic więcej. Trzeba pozełgować przez całą Federację Maurai, od Awajów do jego ojczystej N'Zealanni i na dalej na zachód, na Mlai, by zdać sobie sprawę, jak wielka jest ta planeta i jak ogromne jej połacie okrywa tajemnica.

- Pan znakomicie włada naszym językiem, s'ńor - powiedziała dońita Tresa Caraban z uśmiechem. - Może nawet lepiej niż my, ponieważ pan, przed zaokrętowaniem się, studiował teksty mające całe wieki, a od tamtego czasu spanol bardzo się zmienił.

Ruori odwzajemnił uśmiech. Córka don Miwela była tego warta. Bogata, czarna suknia okrywała wspaniałą figurę, a choć Ludzie Morza mniejszą uwagę zwracali na twarz kobiety, spostrzegł, że dońita Tresa ma ładne rysy, orli nos o łagodniejszej, bardziej miękkiej formie niż u ojca, oczy lśniące, zielone, nakrapiane złotem, a włosy barwy oceanu głęboką nocą. Wielka szkoda, że ci Meycanie - a przynajmniej szlachta - uważali, że

dziewczyna powinna zachować siebie wyłącznie dla męża, którego jej w końcu wybiorą. Miałyby wielką ochotę zamienić jej perły i srebrny naszyjnik na *lei** i wypłynąć na okrętowym kanu, tylko we dwoje, by obserwować wschód słońca i kochać się.

Jednakże...

- W takim towarzystwie - mruknął - mam chęć nauczyć się nowoczesnego języka jak najszybciej.

* *Lei* - hawajskie słowo oznaczające girlandę kwiatów noszoną na szyi (przyp. tłum.).

Powstrzymała się od kokieteryjnego pomachania wachlarzem, który to zwyczaj na zmianę rozbawiał i irytował Ludzi Morza. Zatrzepotała jednak bardzo długimi rękami.

- Równie szybko uczy się pan manier *cab'llero* - odparła.

- Błagam, niech pan nie nazywa naszego języka nowoczesnym - wtrącił się uczenie wyglądający mężczyzna w długiej szacie.

Ruori rozpoznał *bispo* don Carlosa Ermosillo, wysokiej rangi kapłana Esu Carito, który najwyraźniej miał wiele wspólnego z maurańskim Lesu Haristi.

- Nie jest nowoczesny, lecz skażony. Ja również studiowałem starożytne księgi, drukowane przed Wojną Sądu. Nasi przodkowie mówili prawdziwym spanol. Nasza wersja jest równie zniekształcona jak dzisiejsze społeczeństwo - westchnął. - Lecz czego można się spodziewać, kiedy nawet wśród dobrze urodzonych mniej niż jeden na dziesięciu umie napisać własne nazwisko.

- W okresie wielkich dni Perio mniej było analfabetów - rzekł don Miwel. - Powinien pan być odwiedzić nas sto lat temu, *s'ñor captain*, i zobaczyć, do czego zdolna była nasza rasa.

- Jednak czyż samo Perio nie było tylko spadkobiercą? - zapytał *bispo* gorzko. - Zjednoczyło wielkie obszary, na jakiś czas zaprowadziło prawo i porządek, lecz cóż stworzyło nowego? Jego dzieje były taką samą pożałowania godną historią jak tysiąca wcześniejszych królestw, dlatego też dosięgła je taka sama sprawiedliwa zagłada.

Doñita Tresa przeżegnała się. Nawet Ruori, który skończył studia inżynierskie i nawigacyjne, był wstrząśnięty.

- Chyba nie atomowa?! - zawołał.

- Co? A, dawna broń, która zniszczyła stary świat. Nie, oczywiście, że nie. - Don Carlos potrząsnął głową. - Lecz w nasz bardziej ograniczony sposób byliśmy równie głupi i grzeszni jak legendarni praojcowie i skutki były podobne. Można to nazwać ludzką zachłannością albo karą el Dio, jak kto chce. Uważam, że oba określenia oznaczają dokładnie to samo.

Ruori zbliżył twarz do kapłana.

- Chciałbym z panem jeszcze porozmawiać, s'ñor - powiedział z nadzieją, że użył właściwego tytułu. - Ludzie znający historię, a nie mity, są rzadkością w dzisiejszych czasach.

- Jak najbardziej - zgodził się don Carlos. - Będę zaszczycony. Doñita Tresa niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę.

- Zwyczaj zaleca tańce - powiedziała. Jej ojciec wybuchnął śmiechem.

- Ach, tak. Jestem pewien, że młode damy są zniecierpliwione. Jutro będzie dość czasu na kontynuację formalnych rozmów, *s'ñor captain*. Teraz czas na zabawę.

Dał znak. Orkiestra zaczęła grać. Niektóre instrumenty były takie same jak u Maurai, inne zupełnie nieznane. Stopniowanie dźwięków też odmien-

ne... coś podobnego występowało w Stralii, lecz... w tym momencie Ruori poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Obejrzał się. Doñita Tresa.

- Skoro pan nie prosi mnie do tańca, czy mogę być tak nieskromna, by poprosić pana?

- Co oznacza słowo „nieskromna”? - zapytał.

Zaczerwieniła się i usiłowała wyjaśnić, lecz bez powodzenia. Ruori uznał, że to kolejne miejscowe pojęcie, którego brak Ludziom Morza. W tym czasie meyczańskie dziewczyny i ich kawalerowie znaleźli się już na parkiecie sali balowej. Przyglądał im się przez chwilę.

- Nie znam kroków - oznajmił - ale sądzę, że powinienem się szybko nauczyć.

Otoczył dziewczynę ramionami. Jej bliskość była miła, choć nic nie miało z tego wynikać.

- Świetnie sobie pan radzi - powiedziała donita Tresa po dłuższej chwili.

- Czy wszyscy u was są tak pełni wdzięku?

Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że to był komplement, za który powinien jej podziękować; myślał jednak jak Wyspiarz i potraktował jej słowa dosłownie, jako zwykłe pytanie.

- Większość z nas spędza wiele czasu na morzu. Człowiek musi wyrobić w sobie poczucie równowagi i rytmu, bo inaczej ma wielkie szansę znaleźć się za burta.

Zmarszczyła nos.

- Och, proszę przestać! - zaśmiała się. - Jest pan równie uroczystry jak

S'Osé w katedrze.

Ruori odwzajemnił uśmiech. Był wysokim, młodym mężczyzną, brązowo-skórym, jak cała jego rasa, lecz o szarych oczach, które wielu odziedziczyło po angielskich przodkach.

Będąc N'Zealannijczykiem, nie miał tak bogatych tatuaży jak niektórzy ludzie z Federacji Maurai. W warkoczyk wplótł filigranowe cacko z kości wieloryba, nosił sarong z najdelikatniejszego batiku, włożył też obszytą frędzlami koszulę. Z tym strojem kontrastował nóż, bez którego każdy Maurai czuł się nieprzyzwoicie bezbronny - nóż stary, odrapany. Nie budził respektu, dopóki miał ukryte ostrze.

- Muszę zobaczyć tego boga, S'Osé - powiedział Ruori. - Pokaże mi pani? Albo nie. Nie ciekawi mnie zwykły posąg.

- Jak długo tu zostanieecie? - zapytała.

- Jak długo będziemy mogli. Powinniśmy zabadać całe meyczańskie wybrzeże. Dotychczas jedynym kontaktem Maurai z kontynentem merykańskim była jedna wyprawa z Awai do Californi. Znaleźli pustynię i paru dzikich. Od okkaidzańskich kupców słyszeliśmy, że dalej na północ są lasy, gdzie żółci i biali ludzie walczą ze sobą. Jednak nie wiedzieliśmy, co leży na południe od Californi, do czasu wysłania tej wyprawy. Czy potrafilibyście powiedzieć nam, co znajdziemy w Su-Merice?

- Teraz już niewiele - westchnęła. - Nawet w Brasil.

- Ach, lecz w Meyco kwitną prześliczne róże.

Wrócił jej dobry humor.

- A pochlebne słowa w N'Zealanni - zachichotała.

- Och, nic podobnego. Jesteśmy notorycznie prostolinijni. Oczywiście kiedy nie opowiadamy cudów o odbytych wyprawach.

- A jakie to cuda opowie pan o obecnym rejsie?

- Niewiele, w przeciwnym razie wszyscy młodzi mężczyźni Federacji Maurai tłumnie by tu przybyli. Lecz zabiorę panią na pokład mojego statku i zaprowadzę do kompasu. Od tej chwili zawsze będzie wskazywał S'Antón d'Inio. Staniesz się moją różą kompasową.

Jakoś, ku jego zdumieniu, zrozumiała i roześmiała się, gibka w jego ramionach.

Tańczyli całą noc, powiedzieli też sobie mnóstwo głupstw. Przed świtem orkiestra została odesłana i goście, ukrywając ziewnięcia za arystokratycznymi dłońmi, zaczęli się rozchodzić.

- Jakże ponure jest przyjmowanie pożegnań - szepnęła Tresa. - Niech myślą, że już udałam się na spoczynek.

Wzięła Ruoriego za rękę, pociągnęła go za kolumnę, a stamtąd na balkon. Starsza służąca, wyznaczona do spełniania roli przyzwoitki dla par, które tu zawędrowały, owinięta opończą zasnęła. Oprócz niej wśród jaśminów byli tylko oni dwoje. Wokół snuły się mgły, przesłaniające miasto. W oddali dźwięczała pieśń *Todos buen* pikinierów wędrujących po

murach. Po zachodniej stronie balkonu panowała ciemność, w której migotały ostatnie gwiazdy. Siedem wysokich masztów maurajskiego „Dolphina” zabłysło w pierwszych promieniach słońca.

Tresa zadrżała i przysunęła się bliżej do Ruoriego. Milczeli jakiś czas.

- Pamiętaj o nas - szepnęła. - Kiedy wrócisz do swoich szczęśliwszych ludzi, o nas nie zapomnij.

- Jak bym mógł? - odpowiedział, już nie żartobliwie.

- Macie o tyle więcej od nas... Opowiedziałeś mi, jak wasze statki potrafią żeglować niewiarygodnie szybko, niemal pod wiatr. Jak wasi rybacy zawsze mają pełne sieci, jak wasi hodowcy wielorybów utrzymują stada, od których ciemnieje morze, jak nawet uprawiacie ocean, uzyskując żywność i włókna, i... - musnęła palcami migotliwy materiał jego koszuli - powiedziałeś mi, że to sporządzono ręcznie z rybich ości. Powiedziałeś, że każda rodzina ma swój własny, obszerny dom i każdy jej członek, no, prawie każdy ma własną łódź... że nawet małe dzieci na najbardziej samotnej z wysp umieją czytać i mają drukowane książki... że nie znacie żadnej z chorób, które nas niszczą... że nikt nie głoduje i wszyscy są wolni... och, nie zapomnij o nas, ty, do którego el Dio się uśmiechnął!

Zamilkła, uniosła głowę, rozszerzyły się jej nozdrza, jakby czuła urazę. W końcu, pomyślał Ruori, pochodziła z rasy, która od wieków ani nie prowadziła działalności charytatywnej, ani z niej nie korzystała.

Dlatego też bardzo starannie dobierał słowa.

- Więcej w tym szczęścia niż naszej zasługi, donita. W Wojnie Sądu ucierpieliśmy stosunkowo niewiele, a dzięki temu, że żyjemy głównie na wyspach, uniknęliśmy takiego rozrostu populacji, by przekroczyć wydajność karmiącego nas, bogatego oceanu. Nie zachowaliśmy żadnych utraconych sztuk przodków. Nie ma nic takiego. Lecz odtwarzamy starożytną naukę, sposób myślenia, który wpłynął na wszystko. Przeżegnała się.

- Atom! - wyszeptwała, odsuwając się od niego.

- Nie, nie! Tak wiele z odkrytych przez nas ostatnio narodów wierzy, że nauka stała się przyczyną upadku starego świata. Albo uważa, że był to zbiór martwych przepisów na wznoszenie wysokich budynków czy porozumiewanie się na odległość. Lecz ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Metoda naukowa to jedynie sposób uczenia się. To... zaczynanie ciągle od nowa. I właśnie dlatego wy w Meyco możecie pomóc nam tak samo jak my wam, dlatego odszukaliśmy was i w przyszłości zapukamy z nadzieją do waszych drzwi.

Skrzywiła się, choć jej oczy zabłysły.

- Nie rozumiem - oznajmiła.

Zastanawiał się nad przykładem. W końcu wskazał rząd małych otworów w balustradzie balkonu.

- Co tu było? - spytał.

- Nie wiem. To zawsze tak wyglądało.

- Sądzę, że potrafię ci powiedzieć. Widziałem coś podobnego gdzie indziej. Była tu kuta, żelazna krata. Lecz została usunięta i przerobiona na broń lub narzędzia. Prawda?

- Prawdopodobnie - przyznała. - Żelazo i miedź stały się rzadkością. By zdobyć metal, musimy posyłać karawany przez cały ląd, do ruin Tamico, cierpiąc bardzo z rąk bandytów i barbarzyńców. Był czas, kiedy żelazne szyny były o kilometr stąd. Don Carlos mi to powiedział.

Skinął głową.

- Właśnie. Starożytni wyczerpali świat. Wydobywali rudy, spalali ropę i węgiel, spowodowali erozję lądów, aż w końcu nie zostało nic. Oczywiście przesadzam. Wciąż są złoża. Lecz zbyt mało. Można powiedzieć, że dawna cywilizacja roztrwonila majątek. Teraz już odrodziły się lasy i gleba, można spróbować odbudować kulturę maszynową, tylko że nie ma dość surowców mineralnych i paliw. Od stuleci ludzie musieli niszczyć relikty starożytności, by zdobyć jakikolwiek metal. Wiedza przodków nie została zapomniana, po prostu stała się bezużyteczna, bo jesteśmy po wielokroć biedniejsi od nich.

Spoważniał.

- Jednak wiedza i odkrycia nie zależą od stanu majątkowego. Być może dlatego, że na naszych wyspach nie mieliśmy dużo metalu do wyszabrowania, zwróciliśmy się w inną stronę. Metody naukowe dają się stosować równie dobrze do wiatru i słońca, jak kiedyś do ropy, żelaza i uranu. Prowadząc badania genetyczne, dowiedzieliśmy się, jak hodować wodorosty, plankton, ryby, które najlepiej odpowiadają naszym potrzebom. Naukowa gospodar

ka leśna daje nam odpowiednie drewno, surowce do syntez chemicznych, trochę paliw. Słońce zalewa nas energią, którą umiemy pozyskiwać i użytkować. Drewno, ceramika, nawet kamień mogą w większości zastosowań zastąpić metal. Dzięki wykorzystaniu takich zasad jak opływowość kształtu, prawo Venturiego czy rura Hilscha, wiatr dostarcza mocy, ciepła, chłodzenia; można też wykorzystać pływy. Nawet teraz, tuż po powstaniu, psychologia paramatematyczna pomaga w kontrolowaniu populacji, jak również... nie, gadam teraz jak inżynier. Proszę o wybaczenie.

Chciałem powiedzieć, że jeśli tylko zdołamy pomóc innym ludziom, takim jak wy, na skalę światową, dorównamy naszym przodkom lub ich przewyższymy... nie ich metodami, które często były bardzo krótkowzroczne i marnotrawcze, lecz opracowując nasze własne...

Głos mu zamarł. Dońita Tresa nie słuchała. Patrzyła nad jego głową, w powietrze, a na jej twarzy malowała się groza.

Wtedy na blankach odezwały się trąbki i ocknęły się dzwony katedry.

Ruori podniósł wzrok. Niebo w zenicie już pobłękitniało. Nad S'Antón polatywało leniwie pięć orkopodobnych kształtów. Wstające słońce lśniło na podrapanych herbach wymalowanych wzdłuż ich boków. Czując zawroty głowy, oszacował długość tych statków na jakieś sto metrów.

Poniżej nich widniały płatki koloru krwi opadające ku miastu.

- Ludzie Nieba! - usłyszał za sobą ochryply okrzyk. - *Sant'sima Mari*, módl się za nami!

3

Loklann uderzył o płyty chodnikowe, przeturlał się i zerwał na równe nogi. Przez chwilę podziwiał posąg jeźdźca nad fontanną; nic takiego nie mieli w Canyon, w Strefie Corado, w żadnym z górskich królestw. Biała świątynia zwrócona fasadą ku temu placowi sięgała nieba.

Na placu panował ruch, rolnicy i rękodzielnicy przygotowywali stragany na dzień targowy. Teraz rozbiegli się w hałaśliwej panice. Tylko jeden mężczyzna odziany w łachmany porwał kamienny młot i rzucił się ku Loklanno-wi. Osłaniał ucieczkę młodej kobiety, prawdopodobnie żony, unoszącej dziecko w ramionach. Pomimo bezkształtnej, workowatej sukni pirat spostrzegł, że miała niezłą figurę. Dostałby za nią niezłą cenę przy najbliższej wizycie handlarza niewolników Mong w Canyon. Podobnie za jej męża, lecz w tej chwili, wciąż obarczony spadochronem, nie miał czasu. Wyszarpnął pistolet i strzelił. Mężczyzna upadł, krew sączyła mu się spomiędzy palców przyciśniętych do brzucha. Loklann uwolnił się z upręży. Tupiąc buciorami, popędził za kobietą. Kiedy zacisnął palce na jej ramieniu, wrzasnęła i usiłowała się wyrwać, lecz przeszkadzał jej bachor. Pirat pchnął ją w stronę świątyni. Robra był już na schodach.

- Pilnuj! - krzyknął szyper. - Skoro i tak splądrujemy świątynię, możemy w niej trzymać jeńców!

Do drzwi chwiejnie podszedł stary człowiek wlopląskich szatach. Unosił w rękach jednego z meyczańskich bożków w kształcie krzyża, jakby zagrażał drogę. Robra rozwalil mu czaszkę toporem, kopniakiem zrzucił trupa ze schodów i wepchnął kobietę do środka.

Z nieba spadał deszcz zbrojnych. Loklann zadał w bawoli róg, zwołując ich do siebie. W każdej chwili należało się spodziewać kontrataku... Tak, już.

Oddział meyczańskiej kawalerii pojawił się ze szczękiem. Byli to młodzi, dumnie wyglądający mężczyźni w workowatych spodniach, skórzanych plastro-nach i hełmach z pióropuszcami, w powiewających płaszczach. Trzymający drewniane lance zahartowane w ogniu i stalowe szable - bardzo podobni do żółtych nomadów z Tekkas, z którymi walczyli od stuleci. Jednak Lud Nieba również z nimi walczył. Loklann przebił się na czoło swojego oddziału, gdzie chorąży poniósł Sztandar Błyskawicy. Połowa załogi „Buffalo” poskładała z segmentów piki z ceramicznym grotem, oparła drzewce o ziemię i czekała. Szarża ruszyła w ich kierunku. Opuścili piki. Część koni nadziała się na ostrza, część zawróciła z kwikiem. Pikinierzy dźgali jeźdźców. Druga linia spadochroniarzy postąpiła naprzód, uzbrojona w topory, miecze i noże strunowe. Przez chwilę trwała rzeź, aż szyk Meycan się załamał. Nie uciekli, lecz wycofywali się w nieładzie. A wtedy zagrały cięciwy łuków z Canyon.

Na placu pozostali tylko zabici i ranni. Loklann kazał lżej rannych zaciągnąć do świątyni. Co szkodziło zebrać potencjalnych niewolników i przese-lekcionować ich później.

Z daleka dobiegł głuchy huk.

- Armata - powiedział Robra. - Przy koszarach.

- No cóż, niech artyleria się pobawi, póki nasi chłopcy nie wpadną pomiędzy nich - odparł Loklann z sardonycznym uśmiechem.

- Jasne, jasne - potwierdził Robra nerwowo. - Wolałbym tylko, żeby się do nas odezwali. Nie podoba mi się sterczenie tutaj.

- Już niedługo - zapowiedział Loklann.

Tak też było. Dopadł ich zataczający się biegacz ze złamaną ręką.

- „Stormcloud” - wydyszał. - Ten wielki budynek, na który nas skierowałeś... pełny szermierzy... odrzucili nas przy drzwiach...

- Ha! Sądziłem, że to tylko chałupa króla! - zawołał Loklann. Zaśmiał się. - No cóż, może kacyk właśnie urządził przyjęcie. Chodźmy, sam zobaczą. Robra, przejmij tu dowodzenie.

Ruchem palca przywołał do siebie trzydziestu ludzi. Potruchtali pustymi, milczącymi ulicami. Mieszkańcy zapewne kulili się w bezokiennych domach. Tym łatwiej będzie spędzić ich później, kiedy skończy się walka, a zacznie pładrowanie.

Loklann poprowadził oddział za róg. Po przeciwnej stronie zobaczył pałac, stary budynek o zniszczonych ścianach pełnych szklanych okien, pokryty czerwoną dachówką.

Ludzie ze „Stormcloud” walczyli przy głównym wejściu, gdzie piętrzyły się zwwały rannych i zabitych w poprzednim natarciu.

Jednym rzutem oka ocenił sytuację.

-Te zakute łby nie wpadły na pomysł, żeby wysłać część oddziału do jakiegoś bocznego wejścia! - warknął. - Jonak, weź piętnastu chłopców, wyważcie jakieś boczne drzwi i zajdźcie ich od tyłu. My w tym czasie pomożemy dostarczyć im zajęcia.

Uniósł pokrwawiony topór.

- Canyon! - wrzasnął.

- Canyon! - ryknęli ludzie za nim i skoczyli w wir bitwy. Ostatnie natarcie straciło impet. Kilku Meycan stało w głównym wejściu. Szlachcice - ponurzy mężczyźni noszący kozie bródki i woskowane wąsy, w uroczystych czarnych ubiorach. Lewe ręce owinęli dla ochrony czerwonymi płaszczami, w prawych dzierżyli długie miecze. Za nimi stali następní, gotowi zastąpić zabitych.

- Canyon! - wrzasnął Loklann, rzucając się naprzód.

- *Quel Dio wela!* - zawołał szpakowaty don ze złotym łańcuchem na szyi. Zrobił wypad mieczem.

Loklann uniósł topór i sparował pchnięcie. Don był szybki, jego błyskawiczna riposta trafiła pirata w pierś. Jednak ostrze ześliznęło się z twardego, sześciowarstwowego skórzanego kaftana. Ludzie Loklanna cisnęli się po obu stronach, lekkomyślnie wystawiając się na pchnięcia i rąbiąc z góry. Pirat uderzył w miecz przeciwnika.

- Ach, nie, don Miwel! - krzyknął ktoś młody obok calde.

Starszy mężczyzna warknął. Zdołał chwycić topór i z siłą trolla wydarł go piratowi z rąk. Loklann spojrział śmierci w oczy. Don Miwel uniósł topór. Pirat wyszarpnął pistolet i strzelił.

Calde padł. Loklann zdarł z niego złoty łańcuch i zarzucił sobie na szyję. Kiedy się prostował, dostał potężne pchnięcie, które ześliznęło się z jego hełmu. Schwycił topór, zaparł się stopami w ziemię i rąbnął ile sił.

Linia obrońców zaczęła się chwiać.

Za Loklannem rozpętała się wrzawa. Zobaczył błyski broni nad ramionami swoich ludzi. Zaklął, zdawszy sobie sprawę, że w pałacu było więcej obrońców oprócz tych przy drzwiach. Pozostali wykradli się od tyłu i teraz siedzieli im na karkach!

Pchnięcie przebiło mu udo. Ledwie je poczuł, wściekłość przesłoniła mu oczy mgłą.

- Bodajbyście świniami się ponownie narodzili! - ryknął. Na wpół świadomie wydarł się z tłumu, zrobił miejsce wokół siebie, odskoczył w bok.

Nowo przybyli należeli głównie do pałacowej gwardii, sądząc po pasiastych mundurach, pikach i maczetach. Lecz mieli sprzymierzeńców, kilkunastu ludzi, jakich Loklann nigdy nie widział ani nawet o nich nie słyszał. Brązowoskórzy, czarnowłosi jak Injuni, ale o twarzach przypominających białych ludzi. Ich ciała pokrywały zawile, granatowe desenie, za ubiór mieli jedynie owinęte wokół bioder płachty materiału i wieńce kwiatów. Z niesłychaną zręcznością walczyli nożami i maczugami.

Loklann rozdarł nogawicę, by obejrzeć ranę. Nic wielkiego. O wiele gorsze były cięgi, jakie dostawali jego ludzie. Zobaczył, jak Mork sunna Brenn skoczył z uniesionym mieczem na jednego z brązowoskórych, wielkiego mężczyznę mającego na sobie dodatkowo kosztownie wyglądającą koszulę. W kraju Mork zabił w legalnych pojedynkach co najmniej czterech ludzi, a ilu za granicą, tego nikt nie wiedział. Ciemnoskóry mężczyzna czekał z nożem w zębach, z opuszczonymi rękami. Kiedy ostrze spadło, po prostu go już tam nie było. Uderzył kantem dłoni w trzymającą miecz rękę. Loklann wyraźnie usłyszał trzask pękającej kości. Mork wrzasnął. Obcokrajowiec uderzył go w krtań. Pirat opadł na kolana, z ust buchnęła mu krew, zgiął się i znieruchomiał. Kolejny Człowiek Nieba zaatakował z uniesionym toporem. Obcy znów uchylił się przed ciosem, przerzucił napastnika przez biodro. Pirat uderzył głową w bruk i nie poruszył się więcej.

Teraz Loklann spostrzegł, że nowo przybyli tworzą krąg wokół innych, którzy nie uczestniczą w walce. Kobiety. Na Oктаia i ludożerczego Ulagu, ci bękarci wyprowadzali wszystkie kobiety z pałacu! A walka się skończyła;

ponurzy piraci cofnęli się, liżąc rany.

Loklann rzucił się naprzód.

- Canyon! Canyon! - krzyknął.

- Ruori Rangi Lohannaso - odparł wielki obcy uprzejmie. Wyrzucił z siebie serię komend. Jego grupa zaczęła się oddalać.

- Bierzcie ich, szumowiny! - wyryczał Loklann.

Piraci zmobilizowali się i nierówno ruszyli do przodu. Piki tylnej straży zmusiły ich do odwrotu. Loklann poprowadził grupę na drugą stronę pustego placu.

Wielki brązowoskóry mężczyzna patrzył, jak się zbliżali. Szare oczy zatrzymały się na łańcuchu calde i wionęło z nich mrozem.

- Więc to ty zabiłeś don Miwela - oznajmił w spańol. Loklann zrozumiał go; w czasie poprzednich wypraw, bardziej na północy, nauczył się tego języka od więźniów i konkubin. - Ty nędzny synu skuy!

Loklann uniósł pistolet. Ruori wykonał błyskawiczny ruch i w prawym bicepsie pirata utkwilo ostrze noża.

- Chcę go dostać z powrotem! - krzyknął Ruori do niego, a swoim ludziom rozkazał: - Na statek!

Loklann gapił się na krew spływającą mu po ręce. Usłyszał szczęk broni, gdy uciekinierzy przedarli się przez linię zmęczonych piratów. Grupa Jona-ka pojawiła się w głównych drzwiach pałacu - teraz pustego; obrońcy wycofali się razem z Ruorim.

Do Loklanna podszedł jeden z jego ludzi.

- Idziemy za nimi, szyper? - spytał prawie nieśmiało. - Jonak może nas poprowadzić.

- Nie.

- Ale oni uprowadzają ze sto kobiet. Mnóstwo młodych. Loklann otrząsnął się jak pies wychodzący z zimnego strumienia.

- Nie. Najpierw muszę znaleźć lekarza i zszyć ranę. Potem czeka nas mnóstwo roboty. Z tymi cudzoziemcami załatwimy się później, jeśli nadarzy się okazja. Człowieku, mamy miasto do splądrowania!

4

Na nabrzeżu leżały trupy, niektóre spalone. Wydawały się dziwnie małe w porównaniu z magazynami, niczym szmaciane lalki porzucone przez zapłakane dzieci. Smród prochu gryzł w nozdrza.

Atel Hamid Seraio, mat pozostawiony na „Dolphinie” razem z załogą z zaciągu, poprowadził oddział na spotkanie grupy Ruoriego. Zasalutował na sposób wyspiarski, tak niedbale, że nawet w takiej chwili niektórzy Mey-canie poczuli się zaszokowani.

- Właśnie mieliśmy po pana pójść, kapitanie - oznajmił. Ruori popatrzył w stronę gąszczu takielunku „Dolphina”.

- Co się tu stało? - zapytał.

- Banda tych diabłów wylądowała w pobliżu baterii. Opanowali stanowiska, kiedy wciąż jeszcze zastanawialiśmy się, o co tu chodzi. Część z nich popędziła w stronę hałasu dobiegającego z północnej ćwiartki, jak sądzę od strony koszar. Ale reszta zaatakowała nas. No cóż, nasza burta wystaje dobre trzy metry nad keję, mamy wprawę w odpędzaniu piratów, nie mieli więc zbyt dużo szczęścia. Podpiekliśmy ich trochę.

Ruori skrzywił się, wspomniawszy spalone zwłoki. Nie podobało mu się polewanie żywych ludzi płonącym wielorybim tłuszczem.

- Szkoda, że nie spróbowali od strony morza - dodał Atel, wzdychając. - Mamy świetną wyrzutnię harpunów. W zeszłym roku jej użyłem, pod Hinja, gdzie siniski korsarz podłaził za blisko. Jego dżonka hałasowała jak wieloryb.

- Ludzie to nie wieloryby! - warknął Ruori.

- W porządku, kapitanie, dobrze już, dobrze. - Atel cofnął się przed szyprem, nieco przestraszony. - Nie miałem nic złego na myśli. Ruori opanował się i złożył dłonie.

- Niepotrzebnie się rozgniewałem - powiedział oficjalnie. - Śmieję się sam z siebie.

- Nic się nie stało, kapitanie. Jak mówiłem, popędziliśmy im kota i w końcu zrezygnowali. Pewnie sprowadzą posiłki. Co robimy?

- Tego właśnie nie wiem - przyznał Ruori ponuro.

Odwrócił się do Meycan, którzy stali oszołomieni, nic nie rozumiejąc.

- Błagam o wybaczenie, donowie i dońity - powiedział w spańol. - Zdawał mi relację z wydarzeń.

- Proszę nie przeproszać! - zawołała Tresa Caraban, występując przed mężczyznami. Niektórzy z nich sprawiali wrażenie zgorszonych, ale byli zbyt zmęczeni i zbyt oszołomieni, by zganić ją za nieskromność. - Pan uratował nam życie, kapitanie. Więcej niż życie.

Maurai zastanawiał się, co może być gorszego od śmierci, potem skinął głową. Niewola, oczywiście. Więzy, bity i harówka w obcym kraju. Przyjrzał się dziewczynie - długie włosy, rozczochrane, odrzucone na ramiona, podarta suknia, zmęczenie i ślady łez na twarzy. Zastanawiał się, czy wie, że jej ojciec nie żyje. Trzymała się prosto i patrzyła na niego z dziwną przekorą.

- Nie jesteśmy pewni, co robić - przyznał niezdarnie. - Jest nas tylko pięćdziesięciu. Czy możemy pomóc waszemu miastu?

- Nie - odpowiedział mu młody szlachcic, chwiejający się na nogach. - Miasto jest skazane na zagładę. Możecie zabrać te damy w bezpieczne miejsce, to wszystko.

- Przecież jeszcze się nie poddajecie, seńor Dónoju! - zaprotestowała Tresa.

- Nie, dońito - wyszeptał młody człowiek. - Lecz mam nadzieję wypowiadać się przed powrotem do walki, bo jestem już trupem.

- Wejdźcie na pokład - polecił Ruori szorstko. Poprowadził ich po trapie. Liliu, jedna z pięciu okrętowych wahn, wybiegła mu na spotkanie. Objęła go za szyję.

- Bałam się, że zginęliście wszyscy! - zawołała.

- Jeszcze nie. - Ruori uwolnił się od niej delikatnie.

Zauważył, jak Tresa zeszywniała. Czy ci dziwacznicy Meykanie spodziewali się, że załoga wyruszy w wielomiesięczną podróż bez choćby kilku dziewcząt? Uznał po chwili, że to ubiór wahin, bardzo podobny do męskiego, był sprzeczny z ich moralnością. Niech Nań porwie ich kretyńskie uprzedzenia!

Jednak reakcja Tresy go zabolęła.

Inni Meykanie gapili się na nich. Nie wszyscy zwiedzili statek bezpośrednio po jego przybyciu. Skonsternowani patrzyli na liny i maszty, na wielki pokład, wyrzutnie harpunów, kabestany, bukszpryt, na żeglarzy. Maurai uśmiechali się zachęcająco. Większość z nich dotychczasowe wydarzenia traktowała jak zabawę. Ludzi dla rozrywki nurkujących nago w pogoni za rekinami, żeglujących samotnie w łodziach z bocznymi pływakami tysiące mil tylko po to, by kogoś odwiedzić, trudno zmęczyć byle walką.

Jednak oni nie rozmawiali z dostojnym don Miwelem, pogodnym don Wanem i łagodnym *bispo* Ermosillo, nie widzieli ich potem martwych na parkiecie tanecznym, pomyślał Ruori z goryczą.

Meykańskie kobiety skupiły się razem, damy i służące. Popłakiwały. Gwardziści pałacowi otoczyli je zwartym kołem. Ruori poprowadził szlachtę wraz z Tresą na pokład rufowy.

- Teraz - odezwał się - czas na rozmowę. Kim są ci bandyci?

- Ludzie Nieba - wyszeptęła Tresa.

- To widać. - Ruori zerknęł na patrolujący nad ich głowami statek powietrzny. Miał w sobie takie samo złowieszcze piękno jak barakuda. - Ale

kim oni są? Skąd pochodzą?

- To Nor-Merikanie - odpowiedziała cicho, jakby obawiała się własnych emocji. - Z dzikich wyżyn wokół rzeki Corado, z Wielkiego Kanionu, który

sobie wyżłobiła. Górale. Istnieje domniemanie, że dawno temu zostali zepchnięci ze wschodnich równin przez najeźdźców Mong. W miarę wzrastania w siłę wśród wzgórz i pustyni pokonali niektóre szczepy Mong, a z innymi zawarli przyjaźń. Od stu lat niepokoiłi nasze północne granice. Po raz pierwszy zapuścili się tak daleko na południe. Nie spodziewaliśmy się napadu. Przypuszczam, że ich szpiedzy dowiedzieli się, iż większość naszych żołnierzy wędruje wzdłuż Rio Grande w pogoni za rebeliantami. Pożeglowali na południe, nad naszymi ziemiami...

Wzdrygnęła się.

Młody Dónoju splunął.

- To pogańskie psy! Umieją tylko rabować i mordować! Cóż takiego uczyniliśmy, że nawiedziła nas ich plaga? Ruori potarł podbródek w zamyśleniu.

- Nie mogą być aż takimi dzikusami - mruknął. - Te sterowce są doskonałymi konstrukcjami. Ten materiał... jakiś syntetyk? Musi tak być, inaczej nie utrzymałby długo wodoru. Na pewno nie używają helu! Lecz dla wyprodukowania wodoru na taką skalę niezbędny jest przemysł. A przynajmniej porządna chemia praktyczna. Mogą nawet uzyskiwać go elektrolitycznie... dobry Lesu!

Zdał sobie sprawę, że mówi do siebie w ojczystym języku.

- Błagam o wybaczenie - powiedział. - Zastanawiałem się, co możemy zrobić. Ten statek nie ma latających pojazdów.

Znowu popatrzył w górę. Atel podał mu lornetkę. Skupił się na najbliższym sterowcu. Wielki balon z gazem i gondola poniżej - tak wielka jak statek Maurai - tworzyły razem jednostkę o znakomitej aerodynamice. Gondola, trzcinowa plecionka na drewnianej ramie, sprawiała wrażenie lekkiej, lecz mocnej. W trzech czwartych wysokości burty widniało coś w rodzaju biegnącej dookoła galeryjki, na której załoga mogła pracować. Wzdłuż re-lingu rozmieszczono maszyny poruszane siłą ludzkich mięśni. Część na pewno służyła do manewrowania, lecz niektóre przypominały katapulty. Najwyraźniej sterowce poszczególnych wodzów północnych plemion czasem ze sobą walczyły. Warto się było tego dowiedzieć. Psychologowie polityczni Federacji Maurai byli dobrzy w stosowaniu zasady „dziel i rządź”. Ale teraz...

Napęd był szczególnie interesujący. W pobliżu dziobu gondoli dwa poprzeczne drzewce wystawały na boki na dobre szesnaście metrów, jedno nad drugim. Podtrzymywały dwie obrotowe ramy, do których przymocowano kwadratowe żagle. Podobna para zdobiła rufę, w sumie osiem żagli. Do balonu z gazem przytwierdzono stabilizatory podobne do płetw rekina. Kilka niewielkich, osadzonych na osiach, chowanych łopatkowych kół wiatrowych wystawało pod gondolą, najwyraźniej spełniając rolę falszkilu. Żagle i płetwy sterowe stawiano za pomocą lin przechodzących przez bloki i wielokrążki do kabestanów umieszczonych na galeryjce. Odpowiedni ich dobór powinien pozwalać na obieranie ostrych kursów, przynajmniej kilka rumbów na wiatr. Poza tym wiatry wieją w różnych kierunkach na różnych wysoko-

ściach. Opadanie sterowca można uzyskać, wypompowując gaz z komór i sprężając go w rezerwuarach; wznoszenie przez ponowne napełnienie komór albo wyrzucenie balastu (ten drugi sposób zapewne wykorzystywano w trakcie powrotu do domu, kiedy ubytek gazu wskutek nieszczelności był już znaczący). Dysponując żaglami, sterami i możliwością

wyboru korzystnych wiatrów, taki sterowiec mógł przelecieć kilka tysięcy mil, niosąc wielotonowy ładunek. Och, wspaniały statek! Ruori opuścił lornetkę.

- Czy Perio nie zbudowało żadnych statków powietrznych dla obrony? - spytał.

- Nie - wymamrotał jeden z Meycan. - Mieliśmy tylko balony. Nie wiemy, jak sporządzić tkaninę zdolną do utrzymania unoszącego gazu wystarczająco długo, ani też nie mamy pojęcia, jak sterować...

Głos mu zamarł powoli.

- A ponieważ jesteście nienaukową kulturą, nigdy nie pomyśleliście o prowadzeniu systematycznych badań - dokończył Ruori.

Tresa, która patrzyła na miasto, odwróciła się gwałtownie ku niemu.

- Łatwo wam to mówić! - krzyknęła. - Nie musieliście przez całe stulecia opierać się Mongom na północy i Raucanianom na południu. Nie musieliście poświęcić dwudziestu lat oraz dziesięciu tysięcy ludzkich istnień przy budowie kanałów i akweduktów, dzięki którym nieco mniej ludzi cierpi głód. Nie musicie dbać o peonów, którzy umieją tylko pracować, nie potrafią sami o siebie zadbać. Nigdy się tego nie nauczyli, bo samo ich istnienie stanowi dla naszej ziemi obciążenie tak wielkie, że nie stać nas na edukację. Łatwo wam pływać tu i tam z waszymi półnagimi kokotami i naśmiewać się z nas! Co pan by zrobił na naszym miejscu, wszechmocny kapitanie?

- Zamilcz - skarcił ją młody Dónoju. - Uratował nam życie.

- Jak na razie! - Oczy miała pełne łez. Tupnęła w pokład drobną stopą obutą w pantofelek balowy.

Zdezorientowany Ruori przez chwilę zastanawiał się nad zupełnie nieistotną rzeczą: co to takiego kokota? Brzmiało obelżywie. Czyżby miała na myśli wahiny? Ale czy istnieje bardziej honorowy sposób zebrania posagu przez kobietę niż narażanie życia ramię w ramię z mężczyznami w trakcie wyprawy odkrywczej i niosącej cywilizację? O czym Tresa zamierzała opowiadać wnukom w deszczowe wieczory?

Przyszło mu do głowy, że właściwie nie ma powodu, by tak go niepokoiła. Już wcześniej spostrzegł u niektórych Meycan jakąś niemal przerażającą intensywność uczuć pomiędzy mężem i żoną, zupełnie jakby małżonek był kimś więcej niż szanowanym przyjacielem i partnerem. Lecz jaki inny układ jest możliwy? Może wiedziałby to specjalista psycholog, Ruori czuł się zagubiony.

- Nie czas teraz na niegrzeczności - powiedział. Musiał użyć słowa w szańol mającego nieco inny odcień znaczeniowy. - Trzeba podjąć decyzję. Jesteście pewni, że nie możemy mieć nadziei na przepędzenie piratów?

- Nie, o ile sam S'Antón nie uczyni cudu - odparł Dónoju martwym globem. Po chwili wyprostował się gwałtownie. - Tylko jedno może pan dla nas zrobić, señor. Odpłynąć natychmiast, z kobietami. Są wśród nich szlachetnie urodzone damy, które nie mogą zostać sprzedane w niewolę, na pohańbie-nie. Proszę zabrać je na południe, do Port Wanawato, gdzie calde otoczy je opieką.

- Nie lubię uciekać - odparł Ruori, patrząc na zwłoki leżące na nabrzeżu.

- Señor, to są damy! W imię el Dió, zmiłuj się nad nimi! Ruori przyglądał się napiętym, brodatym twarzom. Doświadczył od Meycan wielkiej gościnności i powinien im się zrewanżować przysługą.

- Dobrze, jeśli tego chcecie - powiedział. - A co z wami? Młody szlachcic skłonił się przed nim jak przed królem.

- Nasze dziękczynne modlitwy będą z panem, szlachetny kapitanie. My, mężczyźni, oczywiście wrócimy i będziemy walczyć. Wstał i jak na defiladzie wydał komendę:

- Baczość! Formuj szyk!

Na głównym pokładzie wymieniono kilka szybkich pocałunków. Po chwili meyczańscy mężczyźni zeszli po trapie i pomaszerowali do miasta. Ruori uderzył pięścią w reling.

- Gdybyśmy tylko znaleźli jakiś sposób - mruknął. - Gdybym tylko mógł coś zrobić. Czy sądzi pani, że bandyci nas zaatakują? - zwrócił się do Tresy z nadzieją w głosie.

- Tylko jeśli pan tu pozostał. - Jej oczy wyglądały jak kryształy zielonego lodu. - Gdyby, na Mari, nie przyrzekł pan odpłynąć.

- Jeśli będą nas ścigać na morzu...

- Nie sądzę. Ma pan sto kobiet i niewiele towaru. Ludzie Nieba będą mieli dziesięć tysięcy kobiet jasyru, tyleż mężczyzn i dobra z całego naszego miasta. Po co mieliby się kłopotać pogonią za panem? Proszę ruszać. Nie śmie pan zwlekać.

Jej lodowaty ton podziałał jak cios.

- Co pani ma na myśli? - spytał Ruori. - Uważa pani, że Maurai to tchórze?

Zawahła się

- Nie - przyznała niechętnie, ale szczerze.

- No to czemu natrzęsa się pani ze mnie?

- Och, niech pan sobie idzie!

Uklęła przy relingu, schowała twarz w dłoniach.

Ruori wydał rozkazy. Ludzie zaczęli wspinać się na takielunek. Rozwijające się płachty materiału łopotały w lekkim wietrze. Za pirsem lśnił błękitny ocean upstrzony drobnymi grzebieniami piany; mewy krążyły po niebie. Ruori miał przed oczami krótkie sceny, które dotarły do jego świadomości w czasie dowodzenia odwrotem.

Bezbronny człowiek z rozłupaną czaszką. Dziewczynka, najwyżej dwunastoletnia, krzycząca w rękach dwóch napastników wlokących ją w zaułek.

Stary człowiek uciekający w panice i czterech łuczników strzelających do niego, ryczących ze śmiechu, gdy w końcu padł przeszyty strzałą i usiłował czołgać się dalej. Osłupiała kobieta siedząca na ulicy w podartej sukni obok dziecka z roztrzaskaną głową. Niewielka rzeźba we wnęcie, święta figurka z bukiecikiem wyblakłych fiołków u stóp, pozbawiona głowy niedbałym ciosem młota bojowego. Płonący dom, z którego dobiegały ludzkie wrzaski...

Nagle okręt powietrzny wiszący nad głową stracił swoje piękno.

Żeby tak sięgnąć w górę i ściągnąć ich z nieba!

Ruori zatrzymał się gwałtownie. Załoga krzątała się wokół niego. Słyszał szanty wyśpiewywane przy wybieraniu lin, głębokie głosy, pełne wigoru, bo ci ludzie byli zawsze wolni i dobrze odżywieni.

- Cumy rzuć! - zawołał mat.

- Jeszcze nie! Jeszcze nie! Czekajcie!

Ruori ruszył w stronę pokładu rufowego, wbiegł po schodni i mijając sternika, podbiegł do dońity Tresy. Podniosła się i stała z opuszczoną głową, włosy zasłaniały jej twarz.

- Treso, mam pomysł. Jest szansa, może jednak zdołamy im odpłacić. Podniosła wzrok. Zaciśnęła mu palce na ramieniu tak mocno, że pod jej paznokciami pojawiła się krew.

Urywaniem głosem wyrzucał z siebie słowa.

- Wszystko zależy... od zwabienia ich... do nas. Przynajmniej kilka ich okrętów... musi pogonić za nami... w morze. Możliwe, że... będziemy mogli walczyć... a nawet ich przepędzić...

Wciąż patrzyła mu prosto w oczy. Zawahał się.

- Oczywiście - dodał - możemy przegrać, a mamy kobiety na pokładzie.

- Jeśli przegramy - odezwała się tak cicho, że ledwie ją usłyszał - czy umrzemy, czy trafimy w niewolę?

- Uważam, że zginiemy.

- To dobrze. Walczmy więc.

- Jednego nie wiem. Jak zmusić ich do pogoni za nami - zamilkł na chwilę. - Gdyby ktoś... dał się im złapać i powiedział, że uciekamy z wielkim skarbem, uwierzyliby?

- Zapewne tak - głos miała żywszy, nawet brzmiała w nim niecierpliwość. - Powiedzmy, że skarbiec calde. Nigdy nic takiego nie istniało, lecz rabusie powinni uwierzyć, że piwnice mego ojca były wypełnione złotem.

- W takim razie ktoś musi pójść do nich... Lecz nie byle kto, bo kijami zapędzą go pomiędzy pozostałych niewolników, prawda? Chodzi mi o to, czy w ogóle posłuchają, co ma do powiedzenia?

- Prawdopodobnie nie. Bardzo niewielu z nich zna spańol. Zanim zrozumieją człowieka opowiadającego o skarbie, mogą być już w połowie drogi do domu. Co zrobimy?

Ruori znalazł rozwiązanie, ale nie chciało mu przejść przez gardło.

- Przykro mi - wymamrotał. - Mój pomysł jest kiepski. Wynośmy się stąd. Dziewczyna stanęła tak blisko niego, jakby znów mieli tańczyć.

- Wie pan, jak to zrobić - powiedziała pewnym głosem.

-Nie.

- Poznałam pana dobrze, w jedną noc. Jest pan marnym kłamcą. Proszę mi powiedzieć. Odwrócił wzrok.

- Kobieta - wykrztusił z trudem. - Bardzo piękna. Czyż nie zostałaaby zaprowadzona wprost do ich dowódcy?

Tresa odsunęła się na bok. Policzki z wolna jej pobladyły.

- Tak - potwierdziła w końcu. - Chyba tak.

- Jednak - powiedział Ruori, czując się okropnie - ona może zginąć. Ci ludzie zabijają bez potrzeby. Nie mogę pozwolić nikomu, kogo oddano pod moją opiekę, na ryzykowanie życia.

- Pogański głupcze! - warknęła przez zaciśnięte wargi. - Czy uważa pan, że perspektywa śmierci w ogóle ma dla mnie znaczenie?

- A co jeszcze może się zdarzyć? - spytał zaskoczony. Po chwili skojarzył:

- A tak, oczywiście, jeśli przegramy późniejszą bitwę, ta kobieta zostanie niewolnicą. Chociaż, jak przypuszczam, jeśli byłaby piękna, traktowano by ją całkiem nieźle.

-I tylko tyle panu... - Tresa zamilkła. Nigdy nie przypuszczał, że uśmiech może wyrażać czysty ból. - Oczywiście. Powinnam była zdawać sobie z tego sprawę. Pański lud myśli inaczej niż my.

- O czym pani mówi? - zapytał z wahaniem. Jeszcze przez chwilę stała z zaciśniętymi pięściami. Potem zaczęła mruzczyć do siebie:

- Zabili mojego ojca; tak, widziałam go martwego w drzwiach. Po ich odejściu moje miasto będzie ruiną pełną trupów. Uniosła głowę.

- Pójdę - oświadczyła.

- Pani? - złapał ją za ramię. - Nie, absolutnie nie pani!

- Czy mogę wysłać kogokolwiek innego? Jestem córką calde. Uwolniła się spod jego dłoni i spiesznie podeszła po pokładzie do schodni, potem do trapu.

- Potem, jeśli w ogóle będzie potem, pójdę do zakonu - dobiegły go jeszcze jej słowa.

Nie zrozumiał. Stał na pokładzie rufowym, patrząc za nią w ślad i brzydząc się samym sobą, aż zniknęła mu z oczu.

- Odbijamy! - powiedział wtedy i statek wypłynął w morze.

5

Meycanie walczyli zaciekle, ulica po ulicy, dom po domu, lecz w ciągu kilku godzin wszyscy ich żołnierze, którzy przeżyli, zostali zapędzeni na pół-nocno-wschodni kraniec S'Antón. Nie mieli o tym pojęcia, ale dowódca Ludzi Nieba mógł przyjrzeć się sytuacji z góry - do katedry przycumowano je-

den ze sterowców ze spuszczoną drabinką sznurową, a bratni statek, obsadzony minimalną załogą, dostarczał doń informacje.

- Całkiem dobrze - uznał Loklann. - Do utrzymania ich w ryzach wystarczy czwarta część naszych sił. Nie sądzę, żeby się na nas zniecka rzucili. Tymczasem reszta może zrobić porządek. Nie dawajmy tym stworzeniom dużo czasu na ukrywanie się i chowanie sreber. Po południu, kiedy już odpoczniemy, będziemy mogli zrzucić spadochroniarzy na tyły żołnierzy, zepchnąć ich ku naszym oddziałom i zniszczyć.

Wydał rozkaz lądowania „Buffalo”, żeby móc natychmiast załadować najcenniejsze łupy. Generalnie jego ludzie bywali zbyt brutalni - dobrzy chłopcy, ale skłonni do niszczenia w pośpiechu sukni, naczyń czy krzyży wysadzanych drogimi kamieniami, a czasami meyczańskie przedmioty były zbyt

piękne i cenne, by na to pozwalać.

Okręt flagowy zawisł trzysta metrów nad ziemią. Bardziej obniżyć się nie mógł, jako że stopień sprężenia wodoru uzyskany siłą ludzkich rąk napędzających pompy w zbiornikach z aluminium nie był wielki. W chłodniejszym, gęstszym powietrzu zawisłby jeszcze wyżej. Liny szybko opadły do sprawnie zorganizowanej załogi naziemnej. W rodzinnych stronach przed każdym siołem zainstalowano kabestany wyposażone w mechanizmy zapadkowe, umożliwiające czterem osobom - nawet kobietom - sprowadzenie statku na ziemię. Wszyscy nienawidzili awaryjnego wypuszczania gazu, ponieważ dozorczy z trudem zaspokajali popyt

na niego, pomimo nowego ogniwa słonecznego dobudowanego do ich stacji hydroelektrycznej, słono sobie za niego licząc. (Tak twierdzili dozorczy, lecz może po prostu wykorzystywali swoją nietykalność, niezależność od wszelkich władców, by windować ceny w górę. Niektórzy dowódcy, w tym Loklann, zaczęli eksperymentować z produkcją wodoru na własną rękę, ale rozpracowanie sztuki, którą nawet dozorczy pojmowali jedynie połowicznie, wymagało bardzo dużo czasu).

Tutaj maszyny zastąpili silni ludzie. Wkrótce „Buffalo” został zamocowany na placu katedralnym, niemal całkowicie wypełniając jego przestrzeń. Loklann osobiście sprawdził wszystkie cumy. Zraniona noga bolała, lecz mógł chodzić. Bardziej denerwujące było prawe ramię, rwące z powodu szwów. Medyk ostrzegł, że powinien oszczędzać rękę, co oznaczało walkę lewą, jako że nigdy nikt nie mógł powiedzieć, że Loklann sunna Holber nie wziął udziału w bitwie.

Dotknął noża, który go zranił. Przynajmniej w zamian za swój ból zdobył porządne stalowe ostrze. No i... czyż właściciel nie oświadczył, że spotkają się ponownie, by ustalić, kto je zatrzyma? W takich słowach kryją się przepowiednie. Loklann pomyślał, że chętnie umożliwi Ruoriemu reinkarnację. - Szyper! Szyper! - usłyszał.

Rozejrzał się. Wołali go Yuw Czerwony Topór i Aalan sunna Rickar, ludzie z jego osady. Trzymali za ręce kobietę w czarno-srebrnej welwetowej sukni. Uzbrojony tłum zaczynał się skupiać wokół niej; niewybredne okrzyki przebijały się przez gwar.

- Co jest? - zapytał Loklann szorstko. Miał mnóstwo roboty.

- Ta dziewczka. Szprota, nie? Znaleźliśmy ją blisko nabrzeża.

- Dobra, wrzucicie ją do świątyni razem z innymi, dopóki... - Loklann kiwnął się na piętach, spod zmrużonych powiek spoglądając w nieruchomo patrzące na niego zielone oczy. Niewątpliwie była bardzo urodziwa.

- Cały czas wykrzykiwała te same słowa: *Shef, rey, ombro gran!* W końcu zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie chodzi jej o szefa - powiedział Yuw. -Raz zawołała *khan!* Na pewno chce się spotkać z tobą. No tośmy jej sami nie użyli - dokończył niewinnym tonem.

- *Aba tu spańol?* - odezwała się dziewczyna. Loklann uśmiechnął się szeroko.

- Tak - odparł w tym samym języku, z silnym akcentem, lecz zrozumiale. - Na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż zwracasz się do mnie „waś”. Jej ładnie wykrojone usta zwały się w cienką linię.

- A oznacza to - ciągnął - że albo uważasz mnie za osobę niższego stanu... albo twojego Boga, albo ukochanego.

Zarumieniła się, odrzuciła głowę w tył. Słońce zabłysło w kruczoczarnych włosach.

- Niech pan kazać tym prostakom mnie puścić. Loklann rzucił rozkaz w ingliz. Yuw i Aaalan odstąpili od dziewczyny. Na jej ramionach pozostały siniaki od ich chwytu. Loklann pogładził brodę.

- Chciałaś się ze mną widzieć?

- Jeśli to pan nimi dowodzi, tak - odparła. - Jestem córką calde, dońita Tresa Caraban - głos jej zadrżał na moment. - Nosi pan łańcuch mojego ojca, godło jego stanowiska. Wróciłam w imieniu mojego ludu, by zapytać o warunki.

- Co? - zdumiał się Loklann.

Ktoś w tłumie wojowników zaśmiał się głośno.

Błaganie o litość musi być sprzeczne z jej naturą, pomyślał.

- Weźcie pod uwagę straty, jakie poniesiecie, jeśli będziecie walczyć do końca - ciągnęła nadal ostrym tonem - oraz ryzyko sprowokowania odwetowego ataku na wasz kraj ojczysty. Czy nie lepiej uwolnić jeńców i przestać niszczyć? W zamian umożliwilibyśmy wam bezpieczny odwrót.

- Na Oktai! - mruknął Loklann. -Tylko kobieta mogłaby sobie wyobrazić, że my... - przerwał gwałtownie. - Powiedziałaś, że wróciłaś? Skinęła głową.

- W trosce o swój lud. Wiem, że z prawnego punktu widzenia nie mogę ustalać warunków, lecz w praktyce...

- Nie ma mowy! - warknął. - Skąd wróciłaś? Zawahała się.

- To nie ma nic do rzeczy...

Zbyt wiele oczu było wokół. Loklann wyrzycał rozkaz rozpoczęcia systematycznego płądrowania.

- Wejdz na pokład statku - polecił dziewczynie. - Porozmawiamy jeszcze.

Zamknęła na moment oczy, poruszyła ustami. Potem spojrzała na niego

- przypomniał sobie schwytaną kiedyś pumę.

- Tak. Mam więcej argumentów - powiedziała drewnianym głosem.

- Każda kobieta ma - zaśmiał się - ale ty lepsze niż inne.

- Nie to! - warknęła. - Miałam na myśli... nie. Mari, módl się za mnie. Poszła za nim, kiedy torował sobie drogę pomiędzy swoimi ludźmi. Przeszli pomiędzy zwiniętymi żaglami do drabiny, którą można było się dostać na galeryjkę. Luk prowadzący do dolnej części kadłuba był otwarty, ukazując ładownię i skórzane pęta dla niewolników. Kilku strażników stało na posterunkach na pokładzie galerii. Spod hełmów spływał im pot. Przerzucali się żartami; kiedy mijali ich Loklann prowadzący dziewczynę, wyrazili dobroduszną zazdrość. Otworzył drzwi.

- Widziałaś kiedykolwiek jakiś nasz statek? - zapytał. Górna część gondoli mieściła długie pomieszczenie. Były tu tylko koje, na których układano śpiwory. Dalej mieściło się kilka kabin, rodzaj kambu-za, a na końcu, niemal na samej rufie, pomieszczenie z mapami, stołami na-kresowymi, przyrządami nawigacyjnymi i rurami głosowymi. Jego ściany były tak mocno pochylone na zewnątrz, że oszklone okna dawały znakomity widok, gdy statek znajdował się w górze. Na półce, obok sztuk różnej broni, siedział mały bożek o długich kłach i czterech rękach. Na podłodze leżał

zwinięty materac.

- Mostek - oznajmił Loklann. - Również kabina kapitana.

Wskazał dziewczynie jedno z wiklinowych krzeseł przywiązanych do podłogi.

- Proszę usiąść, dońita. Czy podać coś do picia? Usiadła, lecz nie odpowiedziała. Złożyła na podołku dłonie zaciśnięte w pięści. Loklann nalał sobie porcję whisky i od razu wychylił.

- Później przyniesiemy waszego wina dla ciebie. Jakaż szkoda, że nie znacie tu sztuki destylacji.

Uniosła ku niemu oczy pełne desperacji.

- S'ńor - powiedziała - błagam cię w imię Carito... raczej w imię pańskiej matki. Oszczędź moich ludzi!

- Moja matka dostałaby kolki ze śmiechu, słysząc coś takiego. Nie warto strzepić sobie języka. Uciekałaś, ale wróciłaś. Dokąd uciekałaś?

- Ja... Czy to ma znaczenie? Dobrze, pomyślał, zaczyna się łamać.

- Tak, ma. Wiem, że dziś o świcie byłaś w pałacu. Wiem, że uciekałaś z cudzoziemcami. Wiem, że ich statek odpłynął godzinę temu. Byłaś na nim, ale zesłałaś na ląd, prawda?

- Tak - zaczęła się trząść. Dolał sobie whisky.

- No dobrze, dońita, powiedz mi, z jaką kartą przetargową tu przyszłaś. Nie mogłaś oczekiwać, że zrezygnujemy z najlepszej części łupu i wielu war

tościowych niewolników w zamian za byle prawo bezpiecznego odwrotu. Wszystkie królestwa Nieba wyrzekłyby się nas. Musisz zaoferować więcej, jeśli chcesz nas przekupić.

- Nie... naprawdę nie...

Trzepnął ją otwartą dłonią w twarz. Skuliła się, dotykając czerwonego policzka.

- Nie mam czasu na gierki - warknął. - Powiedz mi! Powiedz mi natychmiast, jaka myśl pchnęła cię tu z powrotem z bezpiecznego miejsca, albo trafisz do ładowni. Kiedy

handlarze znów przybędą do Canyon, osiągniesz świetną cenę. Wiele domów czeka na ciebie: chata drwala w Orgonie, jurta chana Mongów w Tekkasie, burdel daleko na wschodzie, aż w Chai Ka-Go. Powiedz mi teraz prawdę, wszystko, co wiesz, a będzie ci to zaoszczędzone.

Spuściła wzrok.

- Cudzoziemski statek wiezie złoto calde - powiedziała ochryple. - Mój ojciec od dawna chciał przenieść swój osobisty skarb w bezpieczniejsze miejsce, lecz nie ośmielił się zaryzykować lądowego transportu wozami przez cały kraj. Wciąż jeszcze wielu przestępców grasuje pomiędzy nami i Forlez d'S'Ernán. Tak okazała zdobycz mogłaby skusić samą wojskową eskortę do przejścia na stronę bezprawia. Kapitan Lohannaso zgodził się przewieźć złoto drogą morską do Port Wanawato, który leży blisko Fortlez. Można kapitanowi ufać, bo jego rządowi bardzo zależy na nawiązaniu z nami stosunków handlowych. Przybył tu z oficjalną wizytą. Skarb był już załadowany. Oczywiście kiedy napadliście nas, statek zabrał wszystkie kobiety z pałacu. Czy nie mógłby pan jednak ich oszczędzić? Na pokładzie cudzoziemskiego statku znajdzie pan skarb większy, niż cała wasza flota zdołałaby unieść.

- Na Oktai! - wyszeptał Loklann.

Zaczął chodzić po kajucie, w końcu zatrzymał się, wyglądając przez okno. Myślał intensywnie. Wszystko to miało sens. Zawartość pałacu ich rozczarowała. Och, tak, mnóstwo wyrobów z damasceńskiej stali, sreber i innych kosztowności, ale nic zbliżonego do skarbów z katedry. Albo bogactwo calde było mniejsze niż jego władza, albo ukrył swoje zasoby. Loklann zamierzał poddać torturom paru służących, żeby dowiedzieć się prawdy. Teraz zdał sobie sprawę z istnienia trzeciej możliwości.

Lepiej i tak przesłuchać paru więźniów, żeby się upewnić - nie, nie ma na to czasu. Przy sprzyjającym wietrze tamten statek mógł bez wysiłku prześcignąć każdy sterowiec. Już może być za późno na pościg. Ale jeśli nie, hm... Atak nie będzie łatwy. Ten wąski, kiwający się pokład to bardzo mały cel dla spadochroniarzy, a jeszcze przeszkoda w postaci takielunku... Zaraz, odważni mężczyźni zawsze znajdą sposób. A gdyby tak zahaczyć za górne olinowanie? Jeśli pod takim obciążeniem takielunek się poszarpie, tym lepiej. Obciążona lina zapewni gładki zjazd na pokład. Jeśli jednak haki utrzymają, grupa abordażowa na pewno zdoła po linach przedostać się na szczyty masztów. Niewątpliwie żeglarze również byli sprawni, lecz czy kiedykolwiek refowali żagle sterowca w środku merykańskiej burzy, milę nad ziemią?

W miarę rozwoju bitwy trzeba będzie improwizować. W najgorszym razie sama próba będzie niezłą zabawą. A w najlepszym - za taki wyczyn w tym życiu może narodzić się ponownie jako zdobywca świata.

Roześmiał się głośno, radośnie.

- Zrobimy to! Tresa wstała.

- Oszczędzi pan miasto? - wyszeptała chrapliwie.

- Nigdy nic takiego nie obiecywałem - odparł Loklann. - Oczywiście, ładunek ze statku zajmie miejsce większości łupów i ludzi, których byśmy normalnie zabrali. Jeżeli, hm, jeżeli nie pozelegujemy tym statkiem do Cal-forni, by tam spotkać się z większą liczbą sterowców. Tak, czemu nie?

- Ty wiarołomco! - rzuciła z pogardą.

- Obiecałem jedynie, że cię nie sprzedam - rzekł Loklann. Zmierzył ją wzrokiem. - I nie zrobię tego.

Podszedł, przygarnął ją do siebie. Walczyła. Zdołała wyciągnąć zza jego pasa nóż Ruoriego, ale kaftan powstrzymał ostrze.

Potem płakała u jego stóp, na piersiach miała czerwone ślady od łańcucha jej ojca.

- Nie, nie sprzedam cię, Treso - powiedział łagodniej. - Zatrzymam cię dla siebie.

6

- Sterowiec ho-o-o!

Okrzyk człowieka na oku zawisł samotnie pomiędzy wiatrem i rozległymi wodami. W dole, pod głównym grotmasztem, zaroilo się od marynarzy biegnących na stanowiska.

Ruori popatrzył na wschód spod zmrużonych powiek. Pod cumulusami widniało błękitnawe pasmo cienistego, górzystego ładu. Odnalezienie wroga na rozległym nieboskłonie zajęło mu trochę czasu. W końcu słońce błysnęło na sterowcu. Ruori uniósł lornetkę. Dwie kolorowe orki leniwie płynęły w jego stronę, powoli schodząc w dół z pułapu mili. Westchnął.

- Tylko dwa - powiedział.

- To może być dla nas nawet za dużo - odezwał się Atel Hamid. Jego czoło pokrywały krople potu.

Ruori rzucił matowi ostre spojrzenie.

- Chyba się ich nie boisz? Są przesądni, to pewnie jedna z ich największych zalet.

- Och, nie boję się, kapitanie. Znam prawa wyporu równie dobrze jak pan. Lecz ci ludzie są twardzi. W dodatku tym razem nie spróbują wdrzeć się na nasz statek z nabrzeża, są w swoim żywiole.

- My też. - Ruori klepnął mata w ramię. - Przejmij dowodzenie. Tanaroa wie, o co chodzi, ale jeśli mnie podziurawia, decyduj sam.

- Wolałbym, żebyś mnie pozwolił iść - zaprotestował Atel. - Nie mam ochoty siedzieć tu bezpiecznie. Martwi mnie, co się może zdarzyć w górze.

- Na pewno nie będziesz bardziej bezpieczny, niż lubisz. - Ruori uśmiechnął się z przymusem. - A poza tym ktoś musi doprowadzić łajbę do domu i dostarczyć sprawozdania do Geotnicznego Zespołu Badawczego.

Zbiegł po drabinie na główny pokład i pośpieszył do grotwant. Załoga wznosiła okrzyki, błyskała broń. Napięte poszycie czekających dwóch wielkich latawców skrzynkowych, zacumowanych do pachołków, drgało w wietrze. Ruori żałował, że nie mieli dość czasu, by sporządzić ich więcej.

Jednak i tak zwłóczył dłużej, niż dyktował rozsądek. Najpierw wypłynął daleko w morze, a potem wolno halsował z powrotem, pozwalając, by wróg go szukał. Czynił przygotowania. (A raczej opracowywał całą akcję. Kiedy odesłał Tresę, jego plany były niewiele więcej niż przekonaniem, że może walczyć). Założywszy, że w ogóle zdoła ich zwabić w pogoń, ryzykował, że stracą cierpliwość i zawrócą w stronę lądu. Od dobrej godziny snuł się pod grotem, genuą i kilkoma sztakslami w nadziei, że Ludzie Nieba są na tyle ograniczeni, by nie nabrać podejrzeń na widok statku idącego pod tak skromnymi żaglami przy pięknej pogodzie.

Jednak się pojawili. Stanowiło to koniec obaw i wyrzutów sumienia z powodu losu pewnej dziewczyny. Wyspiarze rzadko doświadczali takich emocji, a spostrzeżenie, że koncentrują się na jednej osobie z milionów zamieszkujących ziemię, budziło grozę. Ruori wbiegł po wyblinkach na górę, jakby przed czymś uciekał.

Sterowce wciąż były wysoko, przelatywały nad nimi w górnym wietrze. Tu w dole bryza wiała wprost na południe. Statek powietrzny, niemal w ogóle niezdolny do żeglugi na wiatr, powinien obniżyć lot, kiedy znajdowali się dokładnie po jego zawietrznej. Pomimo to, ocenił Ruori, „Dolphin” mógłby uniknąć ich niezdarnego ataku.

Jednak nie zamierzał tego robić.

Takielunek był teraz gęsto obsadzony uzbrojonymi marynarzami. Ruori wciągnął się na dyby grotmasztu i usiadł, niedbale machając nogami. Podmuch wiatru przenosił nad nimi sterowiec, ogromny, zielono-biały.

- Jesteście gotowi? - spytał Ruori Hitiego.

- Aye.

Harpunnik skinął ogoloną głową. Do marsa, na którym przykucnął, przytroczona była okrętowa katapulta, naciągnięta i załadowana jednym z wielkich harpunów, których cios

potrafił zabić kaszalota. Obok, na stojaku, leżało kilka następnych. Dwóch matów Hitiego i czterech pokładowych zamarło za nim, trzymając mniejsze harpuny - zwykle dwumetrowe drzewce - które miotano z łodzi ręcznie. Liny od wszystkich ostrzy biegły w dół, do rufy.

- Aye, niech się zbliżą - okrągłą twarz Hitiego rozjaśnił uśmiech. - Nan zjada świat, ale kiedy wrócimy do domu, będzie to historia warta tańca!

- Jeśli wrócimy - poprawił go Ruori.

Dotknął toporka wciśniętego za przepaskę na biodrach. Ten ważny dzień niczym kurtyna przesłaniał obrazy z domu, gdzie grzywacze załamywały się w świetle księżyca, wielkie ogniska płonęły na plaży, tancerze byli pełni radości, a palmy rzucały cień dla znikających na uboczu par. Zastanawiał się, czy córka meyczańskiego calde mogłaby to polubić... jeśli nie poderżnięto jej gardła.

- Jesteś smutny, kapitanie - odezwał się Hiti.

- Ludzie będą umierać - odparł Ruori.

- I co z tego? Umrą z chęcią, jeśli będą musieli, dla pieśni, która zostanie o nich ułożona. Coś innego cię trapi, nie śmierć.

- Zostaw mnie!

Harpunnik zamilkł urażony. Wiatr szumiał, ocean lśnił.

Statki powietrzne podleciały bliżej. Zamierzały podejść każdy z innej burty. Ruori zsunął megafon z ramienia. Atel Hamid trzymał „Dolphina” w baksztagu.

Teraz Ruori widział wyszczerzonego w uśmiechu boga na dziobie sterowca podchodzącego ze sterburty. Przeleci tuż nad grotmasztem, nieco po nawietrznej... Z noków rej bez rozkazu posłano w jego stronę sporo strzał, co nie przyniosło żadnego efektu, lecz nikt nie był na tyle rozemocjonowany, by zmarnować nabój karabinowy. Hiti obrócił katapultę.

- Czekaj - polecił Ruori. - Zobaczmy, co oni zrobią.

Nad relingiem galeryjki sterowca pojawiły się głowy w hełmach. Na cienką barierę wszedł jeden człowiek, potem drugi i następny. Rzucili trój-ramienne kotwiczki na linach. Jedna z nich uderzyła w fokmaszt, odbiła się, trafiła w sztaksel... Wykonana ze skóry lina łącząca ją ze sterowcem napięła się, zaśpiewała, ale nie pękła. Żagiel rozdarł się, materiał zaczął strzelać na wietrze, uderzył marynarza w brzuch, zrzucił go z masztu... Mężczyzna pozbierał się na tyle, żeby wyprostować się i gładko wejść w wodę. Dzięki Lesu, że żył! Kotwiczka posunęła się dalej, zahaczyła o gafel grotzągla, drewno jęknęło... Statek dygotał, gdy naciągały się kolejne liny.

Pochylił się mocno. Żagle załopotały. Przechylił nie zagrażał wywrotką -jeszcze - lecz istniała groźba wyciągnięcia masztu z pokładu. I teraz piraci ruszyli. Przeskakiwali reling, pokrzykując jak chłopcy, zsuwali się do kotwiczek i łapali za części takielunku.

Jeden z nich jak małpa skoczył na gafel grota, poniżej dybów. Mat zaklął, cisnął w niego harpunem.

- Basta! - ryknął Hiti. -Te żelaza są nam potrzebne!

Zawietrzny sterowiec wciąż manewrował, usiłując ominąć swojego towarzysza, którego bryza powoli przesuwiała na bakburtę. Ruori podniósł megafon do ust.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - zagrział potężnie dzięki wzmacniaczowi zasilanemu baterią słoneczną. - Spalić drugiego przeciwnika, nim zaczepi kotwiczki! Przeciąć liny łączące z pierwszym i zlikwidować wszystkich, którzy wdarli się na pokład!

- Strzelać? - zawołał Hiti. - Mam świetny cel.

- Aye!

Harpunnik zwolnił katapultę. Wystrzeliła z hukiem. Zębate ostrze przebiło nisko bok gondoli, przedarło się w głąb i zatrzymało po drugiej stronie w wewnętrznym poszyciu.

- Naciągać! - ryknął Hiti.

Jego goryle łapska już spoczywały na korbie. Dwóch ludzi jakoś znalazło dość miejsca, by mu pomóc.

Ruori ześliznął się po wancie biegnącej do wręgi i przeskoczył na gafel. Wylądował tu kolejny pirat, trzeci właśnie się zbliżał, za nim jeszcze dwóch. Balansował boso na rei równie dobrze jak marynarze, wyciągnął miecz. Ruori schylił się pod świszczącym ostrzem, złapał jedną ręką segars grotzągla i zawisł, uderzając toporkiem w linę kotwiczki. Pirat przykucnął i wykonał pchnięcie w jego stronę. Ruori pomyślał o Tresie, walnął mężczyznę siekierką w twarz i zrzucił go na pokład. Ciął linę jeszcze raz. Skóra była mocna, ale toporek ostry. Lina poddała się i odpadła. Uwolniony gafel odchylił się gwałtownie, niemal wrywając segars z palców Ruoriego. Drugi Człowiek Nieba przewrócił się, spadł na dach kabiny, obryzgując krwią wszystko wokół. Mężczyźni wiszący jeszcze na linie ześliznęli się na jej koniec. Najniższy nie dał rady się zatrzymać, pochłonęło go morze. Pozostali roztrzaskali się, gdy wahając się na linie, uderzyli w maszt.

Ruori wciągnął się na gafel, usiadł na nim okrakiem, przez chwilę odpoczywał, z trudem wciągając powietrze do palących płuc. Wokół niego trwał bitewny zamęt, na wantach, masztach i pokładzie. Drugi sterowiec się zbliżył.

Na rufie pęd powietrza wiejącego nad statkiem płynącym na wiatr uniósł latawiec skrzynkowy. Atel wyśpiewał komendę i sternik przełożył rumpel. Nawet mając zahaczone

takie obciążenie, „Dolphin” pięknie zareagował; był zaprojektowany z głęboką znajomością hydrodynamiki. Nasączony tranem wielorybim latawiec przywarł do balonu na jakiś czas - wystarczająco długo, by doleciały do niego sunące po linie skrawki płonącego papieru. Buchnął płomieniem. Sterowiec odsunął się, latawiec odpadł, jego niewielki prochowy ładunek eksplodował bezużytecznie. Atel zaklął i wydał kolejne rozkazy. Drugi latawiec, już unoszący się w powietrzu i podpalony, uderzył w cel. Wybuchł.

Trysnął wodór. Gwałtowne płomienie ogarnęły sterowiec. W blasku słońca wydawały się bardzo blade. Kiedy zajęły się plastikowe przegrody pomiędzy komorami, pojawił się dym. Statek powietrzny opadł w wodę jak powolny meteor.

Jedyną rozsądną rzeczą, jaką mógł zrobić towarzyszący mu statek, było zwolnienie kotwiczek i porzucenie wciąż niemającej przewagi liczebnej grupy abordażowej. Jego kapitan nie mógł wiedzieć, że „Dolphin” dysponował jedynie dwoma latawcami. Mściwie wystrzelił kilka pocisków z kata-pult. Potem uwolnił się, szybko zostając za rufą. Statek Murai wrócił na równą stępkę.

Wróg mógł uciec lub zaplanować kolejny atak. Ruori nie zamierzał pozwolić ani na jedno, ani na drugie.

- Pełny zwrot! - zawołał przez megafon. -Wprost na tego łajdaka! Natychmiast poprowadził atak z want na pokład, gdzie wciąż toczyła się walka.

Grupa Hitiego zahaczyła gondolę trzema potężnymi harpunami i kilkunastoma mniejszymi. Ich napinające się liny zwisały ze sterowca ku kabestanowi na dziobie. „Dolphin”, jak wszystkie statki Maurai, zdobywał w drodze żywność w morzu. Holował już wieloryby, w porównaniu z nimi sterowiec był jak piórko. Nie trzeba się było obawiać nadmiernego obciążenia. Najważniejszą rolę grała teraz szybkość, zanim piraci zorientują się w sytuacji i znajdą sposób na uwolnienie się.

Tohia, hioha, itoki, itoki! - rozbrzmiewała stara pieśń wioślarzy, gdy ludzie obiegali kabestan. Ruori zeskoczył na pokład, zobaczył człowieka z Ca-nyon walczącego z marynarzem, miecz przeciwko pałce. Rozwalił mu głowę od tyłu, tak samo jak postąpiłby z każdym robactwem. (Wtedy, sam zdziwiony i zszokowany, zaczął się zastanawiać, co skłoniło go do myślenia w taki sposób o innej istocie ludzkiej). Bitwa skończyła się szybko. Ludzie Nieba znajdowali się w mniejszości. Jednak kilku ludzi Federacji Maurai zostało ciężko rannych. Ruori kazał kilku ocalałych piratów wrzucić do lazaretu, swoich rannych również skierował pod pokład, gdzie mieli otrzymać środki przeciwbólowe, antybiotyki i znaleźć się pod opieką dam. Potem szybko przygotował załogę do kolejnej fazy.

Sterowiec został już doholowany prawie do bukszprytu. Był tak mocno przechylony, że nie mógł użyć katapult. Piraci tłoczyli się na pokładzie galeryjki, wyli i potrzęsali bronią. Ruori rozpoznał jednego z nich - wysokiego złotowłosego mężczyznę, który walczył z nim przed pałacem. Było to dość niesamowite uczucie.

- Spalimy ich? - zapytał Atel. Ruori skrzywił się.

- Musimy - powiedział. - Spróbujcie nie podpalić samego statku. Jest nam potrzebny.

Przenośna dysza poruszała się w górę i w dół w rękach mocno zbudowanych wyspiarzy. Płomienie rzygały z ceramicznej końcówki. Dym, smród i wrzaski oraz widok, jaki odsłonił się, gdy Ruori nakazał przerwanie ognia, wywołały atak mdłości nawet u najtwardszego weterana patroli przeciw-pirackich. Maurai nie byli sentymentalnym ludem, ale nie lubili sprawiać bólu.

- Gasić - wychrypiał Ruori.

Strumienie wody były swego rodzaju błogosławieństwem. Wiklina, która zaczęła się już palić, zgasła z sykiem, poczerniała.

Ze statku rzucono kotwiczki. Kilku chłopców okrętowych rzuciło się naprzód, żeby wyprzedzić marynarzy. Na galerii nikt nie stawiał oporu. Piraci stali w odrętwieniu, broń leżała u ich stóp. Stracili chęć do walki. W ślad za

chłopcami przerzucono drabiny, załoga „Dolphina” wyroliła się na pokład sterowca i zaczęła zganiać więźniów.

Kilku Ludzi Nieba wyskoczyło zza drzwi z uniesioną bronią. Ruori zobaczył wśród nich wysokiego jasnowłosego mężczyznę, który wyciągnął jego własny sztylet i rzucił się na niego. Prawą rękę miał bezwładną.

- Canyon! Canyon! - rozległ się wojenny okrzyk. Ruori zrobił unik przed atakiem i wysunął stopę. Blondyn się potknął. Kiedy padał, dostał w nasadę szyi płazem toporka. Zwalił się na pokład.

- Chcę odebrać swój nóż. - Ruori przykucnął, rozwiązał pełen narzędzi pas rabusia. Zaczął pirata krępować.

Zamglone niebieskie oczy spojrzały na niego błagalnie.

- Nie zamierzasz mnie zabić? - zapytał więzień w spańol.

- Nie - odparł Ruori zaskoczony. - Po co miałbym to robić? Ostatni opór wygasł, sterowiec był zdobyty. Ruori otworzył przednie drzwi, sądząc, że odpowiednik mostka musi znajdować się za nimi.

Zamarł na dłuższą chwilę, nie słysząc nic oprócz wiatru i szumu własnej krwi.

Tresa podeszła do niego. Szła z wyciągniętymi przed siebie rękami jak ślepiec, jej oczy patrzyły przez niego na wskroś.

- Jest pan tu - powiedziała pustym, bezbarwnym głosem.

- Dońita - wymamrotał Ruori. Schwycił jej dłonie. - Dońita, gdybym wiedział, że jesteś na pokładzie, nigdy, nigdy bym nie zaryzykował...

- Dlaczego nie spalił pan nas i nie zatopił jak ten drugi statek? - zapytała. - Dlaczego ten musi wrócić do miasta?

Wyrwała mu się i wyszła na pokład. Był mocno pochylony i kiwał się pod jej krokami. Upadła, podniosła się, stąpając delikatnie jak bosa podeszła do relingu i zapatrzyła się w ocean. Jej włosy i podarta suknia powiewały w podmuchach wiatru.

7

Obsługa statku powietrznego wymagała nie lada umiejętności. Ruori wyczuwał, że trzydziestu ludzi, których sprowadził na pokład, żeglowało tak, że trudno byłoby gorzej. Doświadczony Człowiek Nieba po jednym spojrzeniu na wodę wiedziałby, jakiego oczekiwać prądu termicznego, wstępującego czy zstępującego; potrafiłby oszacować, na jakiej wysokości wieje korzystny wiatr, i gładko unieść lub opuścić statek; mógłby nawet sterować trochę na wiatr, choć posuwałby się naprzód bardzo powoli, wskutek dużego dryfu.

Niemniej godzinne badanie pozwoliło poznać podstawowe zasady. Ruori wrócił na mostek i wydał rozkazy przez tubę. Byli coraz bliżej ładunku. Spojrzał w dół, na „Dolphina”, gdzie znajdował się ładunek i jeńcy, idącego pod zmniejszonymi żaglami. Razem z innymi świeżo upieczonymi aeronautami będzie musiał znosić mnóstwo żartów na temat ich ślimaczego lotu. Nie

uśmiechnął się na myśl o tym ani nie planował, jak będzie się odcinał, a uczyniłby tak jeszcze wczoraj. Tresa siedziała za nim nieruchomo niczym

posąg.

- Czy zna pani nazwę tego statku, dońita? - zapytał, żeby przerwać milczenie.

- Nazywał go „Buffalo” - odparta nieobecnym tonem, obojętnie.

- A co to jest?

- Rodzaj dzikiego bydła.

- Wnioskuje z tego, że rozmawiał z panią w trakcie poszukiwania mojego statku. Czy powiedział jeszcze coś istotnego?

- Opowiadał o swoich ludziach. Chwalił się rzeczami, których my nie mamy... silnikach, źródłach energii, stopach metali... jakby czyniło ich to czymś więcej niż bandą plugawców.

Przynajmniej w końcu okazała jakieś uczucia. Obawiał się, że zaczęła pragnąć, by jej serce się zatrzymało; lecz nie zauważył dotąd żadnych dowodów na stosowanie tego powszechnego u Maurai zwyczaju tutaj, w Meyco.

- Czy bardzo panią maltretował? - zapytał, nie patrząc na nią.

- Pan nie uznałby tego za maltretowanie. Proszę pozostawić mnie samą, na miłość boską!

Usłyszał, jak oddala się od niego ku tylnym pomieszczeniom. No cóż, pomyślał, w końcu jej ojciec został zabity. To powód do smutku, zwłaszcza dla niej. Meycańskie dziecko było wychowywane wyłącznie przez rodziców; nie spędzało połowy czasu, jedząc, śpiąc lub bawiąc się u któregoś z kuzynów, tak jak większość wyspiarskiej młodzieży. Tak więc tutaj najbliżsi krewni mają większe psychologiczne znaczenie. To wyjaśnienie

Ruoriego zadowoliło.

Zobaczył miasto i statki wroga lśniące w górze. Trzy przeciw jednemu... tak, jeśli mu się uda, dzisiejszy dzień przejdzie do legendy wśród Ludzi Morza. Ruori wiedział, że powinien odczuwać taką samą lekkomyślną przyjemność jak człowiek uprawiający surfing, polujący na rekiny czy żeglujący na skrzydłach tajfunu, zajmujący się jakimkolwiek karkołomnym sportem, w którym sukces dawał sławę i przychylność dziewczyn. Słyszał, jak jego ludzie skandują okrzyki, wybijają rytmy wojennych bębnow uderzeniami dłoni i stóp. Jego serce jednak było zimne jak Antarktyka.

Najbliższy wrogi statek ruszył. Ruori usiłował spotkać się z nim jak zawodowiec. Przebrał swoją załogę w zdobyczne mundury. Zdawkowe spojrzenie zakwalifikowałoby ich jako prawdziwych Canyonitów, uszczuplonych po ciężkiej walce o przechwycony statek Maurai płynący pod nimi.

Kiedy ludzie z północy sterowali ku niemu w leniwy sposób statków powietrznych, Ruori ujął tubę głosową.

- Czekać, aż podejdzie. Strzelać, gdy znajdą się burta w burcie.

- Aye, aye! - odpowiedział Hiti.

Minutę później kapitan usłyszał łomot katapulty. Przez bulaj zobaczył pocisk uderzający w sam środek wrogiej gondoli.

- Zwolnić linę - polecił. - Chcę dostać go latawcem, ale nie zamierzam przy tym spłonąć.

- Aye, bawiłem się już z włócznikiem - śmiech pobrzmiwał w tonie Hi-tiego.

Przeciwnik usunął się gwałtownie. Kilka pocisków wyleciało z jego kata-pult, jeden trafił, ale przebicie pojedynczej komory gazowej nie miało większego znaczenia.

- Zwrot! - krzyknął Ruori.

Nie ma sensu wystawiać się bokiem na ich salwy burtowe. Obydwa statki zaczęły dryfować z łopoczącymi żaglami.

- Ostro na zawietrzną!

„Buffalo” stał się dryfkotwą zmuszającą przeciwnika do zwolnienia. Teraz przyszedł czas na latawiec przygotowany w drodze powrotnej. Tym razem przymocowano do niego haczyki na ryby. Przywarł solidnie do balonu Canyonitów.

- Luz! - krzyknął Ruori.

Ogień popędził wzdłuż liny latawca. W kilka minut płomień ogarnęły wroga. Kilka spadochronów zostało zwianych do morza.

- Jeszcze dwa - powiedział Ruori, nie przyłączając się do triumfalnych okrzyków swoich ludzi.

Najeźdźcy nie byli głupi. Pozostałe sterowce zawróciły nad miasto, nie chcąc narażać się na płomień z wody. Jeden opuścił się w dół, rzucił cumy i szybko został ściągnięty na plac. Ruori przez lornetkę widział uzbrojonych ludzi tłumnie wchodzących na jego pokład. Drugi, niewątpliwie obsadzony tylko patrołową załogą, manewrował w stronę zbliżającego się „Buffalo”.

- Ten chce nas zaatakować - ostrzegł Hiti - a tymczasem ten drugi, tam w dole, załadowuje kilkuset żołnierzy i dobije z nimi do naszej burty.

- Wiem - odparł Ruori. - Wyświadczymy im przysługę. Sterował, jakby chciał zbliżyć się do sterowca patrolowego z minimalną załogą. Przeciwnik go nie unikał; jednak Ludzie Nieba byli odważni. Wrogi sterowiec usiłował jak najszybciej zahaczyć „Buffalo”. Znalazł się bardzo blisko.

- Płonące strzały - zarządził Ruori, żeby ich odstraszyć. Na pokładzie tłoki z twardego drewna wsunięto do niewielkich cylindrów, powodując zapłon umieszczonego na dnie łatwo palnego materiału;

w ten sposób zapalały się nasączone olejem drzewce. Kiedy wróg znalazł się w zasięgu strzału, łucznicy „Buffalo” zaczęli posyłać w jego stronę czerwone komety.

Gdyby to nie zadziało, Ruori wykonałby zwrot. Nie chciał poświęcać więcej ludzi w walce wręcz; zamiast tego spróbowałby na serio spalić statek przeciwnika z dystansu, choć był mu potrzebny do realizacji planu. Jednak wpływ katastrofy sprzed chwili na morale był widoczny. Kiedy płonące strzały zastukały w gondolę, co było posunięciem taktycznym tak obosiecznym, że żadna załoga z północy nie była do niego przygotowana, Canyonici spanikowali i zaczęli wyskakiwać. Przymuszczałnie kiedy spływali w dół na

spadochronach, kilku spostrzegło, że ani jedna strzała nie została skierowana w ich balon.

- Chwytać, szybko! - zaintonował Ruori. - Zgasić ogień! Kotwiczki poleciały do celu. Sterówce, kiwając się, zatrzymały się obok siebie. Ludzie przeskoczyli na sąsiednią galeryjkę, chlusnęła woda z wiader,

- Uwaga! - zawołał Ruori. - Połowa naszych na przyz. Sporządzić liny ratunkowe i przymocować je porządnie.

Odłożył tubę. Za nim zaskrzypiały drzwi. Odwrócił się w momencie, gdy Tresa wróciła na mostek. Wciąż była blada, lecz przycesała włosy i trzymała głowę uniesioną wysoko.

- Jeszcze jeden! - powiedziała tonem niemal radosnym. - Pozostał tylko jeden!

- Ale ten będzie pełen ludzi - skrzywił się Ruori. - Żałuję, że ustąpiłem pani odmowie przejścia na pokład „Dolphina”. Tu jest zbyt niebezpiecznie.

- Sądzi pan, że mnie to obchodzi? - spytała. - Nazywam się Caraban.

- Ale mnie to obchodzi!

Przestała być wyniosła. Dotknęła jego dłoni, policzki się jej zaróżowiły.

- Proszę mi wybaczyć. Tak wiele pan dla nas zrobił. W żaden sposób nie będziemy w stanie okazać panu naszej wdzięczności.

- Jest sposób - zaprzeczył Ruori.

- Proszę go zdradzić.

- Niech pani nie zatrzymuje swojego serca tylko dlatego, że zostało zranione.

Spojrzała na niego, w jej oczach zabłysło światło, jak brzask,

W drzwiach wyjściowych pojawił się bosman.

- Wszystko gotowe, kapitanie. Wisimy równo na trzystu metrach, przy każdym zaworze tych dwóch gruchotów stoi człowiek.

- Czy każdy ma swoją linę ratunkową?

- Aye.

Bosman wyszedł.

- Pani będzie również jej potrzebować. Proszę za mną. Ruori wziął Tresę za rękę i wyprowadził ją na galeryjkę. Bryza muskała ich twarze, pokład pod nogami poruszał się jak żywe stworzenie.

- Nie będziemy ryzykować skoków ze spadochronem, nasi ludzie nie są przeszkoleni - wyjaśnił Ruori, pokazując wiele cienkich linek z magazynów „Dolphina” przywiązanych do

relingu. - Pani nie ma jednak doświadczenia w zjeździe po takiej linie. Przygotuję uprząż, która będzie panią bezpiecznie podtrzymywać. Proszę spuszczać się w dół, przekładając dłonie. Kiedy

dotrze pani do ziemi, proszę się odciąć.

Uciął nożem kilka kawałków liny i związał je z wprawą marynarza. Kiedy zakładał jej uprząż, zeszywniała.

- Ależ ja jestem pani przyjacielem - mruknął. Odprężyla się. Nawet uśmiechnęła się niepewnie. Dał jej swój nóż i wrócił na pokład.

Wrogi statek właśnie uniósł się z ziemi. Zbliżył się. Dwa statki Ruoriego nie próbowały uciekać. Promienie słońca błysnęły na ostrej stali. Ruori wiedział, że Canyonici byli świadkami przegranej ich towarzysza i nie dadzą się pokonać tym samym podstępem. Nie wystrzelił płonących strzał.

- Otwierać zawory! - krzyknął, kiedy zaledwie kilka sążni dzieliło go od wroga.

Gaz z hukiem uleciał z obu balonów. Związane sterowce opadły.

- Strzelać! - rozkazał Ruori.

Hiti wycelował katapultę i posłał harpun z liną w dno atakującego statku.

- Podpalać i opuszczać pokład! Zapalono olej rozlany wcześniej ze słoików. Płomienie buchnęły wysoko.

Obciążony dwoma prawie opróżnionymi z gazu statkami, sterowiec Ca-nyonitów zaczął opadać. Na wysokości stu pięćdziesięciu metrów wyrzucone liny ratunkowe dosięgły płaskich dachów, układały się na ulicach. Ruori zaczął zjeżdżać. Przypalił sobie dłonie.

Wcale nie zjeżdżał za szybko. Zahaczony sterowiec dopuścił sprężonego wodoru do balonu i wraz z obciążeniem uniósł się na trzysta metrów, by zapewnić sobie przestrzeń manewrową. Przypuszczalnie nikt jeszcze nie zauważył, że uwieszony pod nim ciężar stoi w ogniu. Na pewno zerwanie czy odcięcie harpunów Hitiego nie byłoby łatwe.

Ruori patrzył w górę. Podsycane wiatrem płomienie nie dawały dymu;

utworzyło się małe, dzikie słońce. Nie oczekiwał, że ogień całkowicie zaskoczy nieprzyjaciół. Założył, że skoczą na spadochronach, a na ziemi Meyca-nie będą mogli zaatakować.

Żar dotarł do resztek gazu w opróżnionych balonach. Rozległ się dźwięk przypominający westchnienie. Górny statek zmienił się w latający stos. Wiatr zniósł go poza mury miasta. Kilka figurek, małych jak mrówki, wyskoczyło. Spadochron jednej z nich płonął.

- *Sant'sima Marí!* - szepnęła Tresa i wtuliła się w ramiona Ruoriego.

8

Po zmroku w splądrowanym pałacu płonęły świece. Gwardziści stojący szpalerem w sali tronowej byli obdarci i zmęczeni. Nikt w S'Antón się jeszcze nie weselił. Zbyt wielu ludzi zginęło.

Ruori siedział na tronie calde, na podwyższeniu, po prawej ręce miał Trese, po lewej Pawolo Dónoju. Dopóki nie wybrano nowej rady, oni musieli sprawować władzę. Don siedział sztywno, z obandażowaną głową; nie był w stanie utrzymać opadających, zbyt ciężkich powiek. Tresa spoglądała ogromnymi oczami spod kaptura otulającej ją peleryny. Ruori siedział swobodnie, nieco szczęśliwszy, ponieważ walka się skończyła.

Bitwa była straszna, nawet gdy podniesiona na duchu gwardia rzuciła się do ataku i zepchnęła ocalałych wrogów. Zbyt wielu Ludzi Nieba walczyło na

śmierć i życie. Setki jeńców, pochodzących głównie z pierwszego sukcesu Mauri, były niebezpieczną zdobyczą; nikt nie miał pojęcia, co z nimi zrobić.

- Przynajmniej ich powstrzymaliśmy - powiedział Dónoju.

Ruori potrząsnął głową.

- Nie, s'ñor. Przykro mi, lecz patrzy pan zbyt krótkowzrocznie. Tam na północy są tysiące takich statków i silni, nienasyчени ludzie. Przybędą tu znowu.

- Będziemy na nich czekać, kapitanie. Następnym razem będziemy przygotowani. Większy garnizon, balony zaporowe, płonące latawce, działa strzelające w górę, może nasza własna latająca flota... musimy się wiele nauczyć.

Tresa zadrżała.

- W końcu wypowiemy im wojnę. Nikt żywy nie pozostanie na wyżynach Corado.

- Nie - zaprotestował Ruori. - To niedopuszczalne.

Odwróciła gwałtownie głowę, wpatrywała się w niego spod kaptura.

- To prawda - odezwała się w końcu - że przykazano nam kochać nie-przyjaciół nasze, lecz nie dotyczy to Ludzi Nieba. To nie są istoty ludzkie!

- Proszę przyprowadzić szefa więźniów - polecił Ruori służącemu.

- Żeby wysłuchał naszego sądu nad nim? - zapytał Dónoju. - To powinno się odbyć formalnie, publicznie.

- Tylko żeby mógł z nami porozmawiać - odparł Ruori.

- Nie rozumiem pana - powiedziała Tresa. Głos jej się załamywał, nie potrafiła zawrzeć w nim całej zamierzonej pogardy. - Po tym wszystkim, co pan zrobił, nagle okazuje pan całkowity brak męskości.

Zastanawiał się, dlaczego bolą te wypowiedziane przez nią słowa. Gdyby pochodziły od kogoś innego, nic by go nie obeszyły.

Loklann wszedł pomiędzy dwoma strażnikami. Miał związane z tyłu ręce, na twarzy zaschłą krew, lecz szedł jak zdobywca pod szpalerem pik. Kiedy dotarł do podwyższenia, stał z szeroko rozstawionymi nogami i uśmiechał

się do Tresy.

- Rozumiem - powiedział. - Uznałaś, że inni cię nie zadowolą, więc sprowadziłaś mnie z powrotem. Zerwała się na równe nogi.

- Zabijcie go! - wrzasnęła.

- Nie! - krzyknął Ruori.

Gwardziści zawahali się z maczetami w rękach. Ruori wstał i chwycił dziewczynę za nadgarstki. Walczyła jak kocica.

- A więc nie zabijamy go - zgodziła się w końcu, tak zduszonym głosem, że z trudem dawało się ją zrozumieć. - Nie teraz. Niech to odbędzie się powoli. Uduście go, spalcie żywcem, rzućcie na ostrza dzid...

Ruori trzymał dziewczynę mocno, aż zamilkła. Kiedy ją puścił, wybuchnęła płaczem.

- Trzeba wybrać odpowiednią karę - odezwał się Pawolo Dónoju głosem, w którym dźwięczała stal.

Loklann splunął na podłogę.

- Oczywiście - rzekł. - Kiedy macie związanego człowieka, od razu planujecie się z nim szpetnie zabawić.

- Milcz! - warknął Ruori. - Nie pomagasz ani sobie, ani mnie. Usiadł i zapatrzył się przed siebie, w mrok na końcu sali.

- Wiem, że cierpieliście z rąk tego człowieka - zaczął, starannie dobierając słowa. - Możecie oczekiwać w przyszłości dalszych cierpień z rąk jego pobratymców. Są młodą rasą, bezmyślną jak dzieci, tak samo jak nasi przodkowie, gdy nasze kultury były młode. Czy sądzicie, że Perio powstało bez bólu i krzywd? Czy uważacie, że ludzie Spañol zostali radośnie przyjęci przez Inios? Że Ingliss nie przynieśli rzezi na N'Zealann, a Maurai nie byli kiedyś kanibalami? W czasach bohaterów potrzebni są przeciwnicy.

Waszą prawdziwą bronią przeciwko Ludziom Nieba nie jest armia wysłana, by zgubić się w nieznanym górach... Wasi kapłani, handlarze, artyści, rzemieślnicy, maniery, moda, talent do nauki - to są środki, które właściwie użyte rzucają ich na kolana.

Loklann szarpnął się w więzach.

- Ty diable! - wyszeptał. - Czy naprawdę chcesz przerobić nas na... wiarę kobiet i więźniów miast? - Potrząsnął blond grzywą. - Nie! - krzyknął, aż echo poszło od ścian.

- To zajmie stulecie, może dwa - odparł Ruori. Don Pawolo uśmiechnął się nad swą skąpą bródką.

- Wyrafinowana zemsta, s'ńor - przyznał.

- Zbyt wyrafinowana!

Tresa podniosła twarz, ukrytą do tej pory w dłoniach, zaczerpnęła haust powietrza, uniosła palce zakrzywione niczym szpony, jakby je chciała wbić Loklannowi w oczy.

- Nawet jeśli to się da przeprowadzić - warknęła - nawet gdyby mieli dusze, czego możemy chcieć od nich, od ich dzieci czy wnuków... od tych, którzy dziś mordowali nasze dzieci? Przed wszechmocnym Dio - jestem ostatnia z rodu Caraban i moi zwolennicy będą mówić w moim imieniu w całym Meyco - nigdy dla nich nie będzie innej przyszłości niż eksterminacja. Możemy to zrobić, przysięgam. Wielu Tekkan pomoże, dla łupów. Jeszcze dożyję chwili, ty świnio, gdy twój dom spłonie, a na twoje bachory będzie się polować z psami.

Odwróciła się gwałtownie do Ruoriego.

- Jak inaczej nasza ziemia może stać się bezpieczna? Jesteśmy otoczeni wrogami. Nie mamy innego wyboru, jak tylko ich zniszczyć, bo inaczej oni zniszczą nas. A my jesteśmy ostatnią cywilizacją w Meryce.

Usiadła, dygocząc. Ruori wziął ją za rękę. Była lodowato zimna. Przez chwilę, nieświadomie, Tresa oddała uścisk, potem wyrwała dłoń.

Westchnął.

- Nie mogę się z tym zgodzić - powiedział. - Przykro mi, wiem, co czujecie.

- Nie wiesz - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Nie potrafisz sobie tego wyobrazić.

- Lecz poza wszystkim - ciągnął, siląc się na oschły ton - nie jestem tylko człowiekiem mającym ludzkie pragnienia. Reprezentuję mój rząd. Muszę powrócić z informacjami, co tu zastałem, i przewiduję ich reakcję.

Pomogą wam odeprzeć ataki. Takiego wsparcia nie możecie odrzucić, prawda? Ludzie, którzy będą odpowiedzialni za Meyco, nie odrzucą naszej propozycji przymierza jedynie po to, by zachować niepewną niezawisłość postępowania, i to niezależnie od

protestów ekstremistów. Będziemy chcieli z waszej strony czegoś więcej niż tylko polityki dążącej do pojednania i nawiązania bliskich stosunków z Ludźmi Nieba, kiedy już zmęczą się bezowocnymi próbami przełamania naszej wspólnej obrony.

- Co?! - zdumiał się Loklann.

Jego głos rozbrzmiał w absolutnej ciszy. Spod hełmów błyskały białka oczu skierowanych wprost na Ruoriego.

- Zaczniemy od was - oświadczył Maurai. - We właściwym czasie, wraz ze swoimi ludźmi zostaniesz pod eskortą odwieziony do domu. Waszym okupem będzie wpuszczenie na wasze ziemie misji dyplomatycznych i handlowych.

- Nie! - zaprotestowała Tresa. Jej głos był pełen bólu. - Nie on. Wyślij z powrotem pozostałych, jeśli musisz, ale nie jego, żeby przechwalał się tym, co dzisiaj uczynił.

Loklann ponownie uśmiechnął się szeroko, patrząc wprost na nią.

- Będę się przechwalał.

Ruori poczuł gniew, lecz milczał.

- Nie pojmuję - z wahaniem odezwał się don Pawolo. - Dlaczego trzyma pan stronę tych łajdaków?

- Ponieważ są bardziej cywilizowani od was - wyjaśnił Ruori.

- Nie do wiary! - szlachcic zerwał się na równe nogi, sięgając po miecz. Sztywno usiadł z powrotem. - Proszę to wytłumaczyć, s'ńor - odezwał się lodowatym tonem.

Ruori nie widział twarzy Tresy ukrytej pod kapturem, lecz czuł, jak staje się dlań odległa bardziej niż gwiazdy.

- Wynaleźli statek powietrzny - powiedział. Był wyczerpany, w ogóle nie miał poczucia wygranej. O wielki stwórczo Tanaroa, ześlij mi sen dziś w nocy!

- Ale...

- Dokonali tego, zaczynając od zera - wyjaśnił Ruori. - Nie jest to kopia starożytnej techniki. Będąc banitami, stworzyli rolnictwo zdolne do wysłania tysięcy wojowników z obszaru, który niegdyś był pustynią, a jednak najwyraźniej nie potrzebują mnóstwa peonów. Z przesłuchań dowiedziałem się, że znają ogniwa słoneczne, chemię organiczną, proch, metalurgię, aerodynamikę, mają hydroelektrownie, dobrze rozwiniętą nawigację, z czego wynika znajomość matematyki... Tak, ośmielam się twierdzić, że to skrzywiona kultura, cieniutka warstewka nauki na morzu analfabetów. Lecz na

wet te ciemne masy muszą szanować technologię, inaczej nigdy by się nie rozwinęła do tego stopnia.

W skrócie - westchnął, zastanawiając się, czy potrafi sprawić, by Tresa to zrozumiała - Ludzie Nieba są rasą uprawiającą naukę. Jedyńa, jaką Maurai do tej pory odkryli. I dlatego są zbyt cenni, by ich stracić.

Wy tutaj macie lepsze maniery, bardziej humanistyczne prawa, wspanialszą sztukę, szerszy światopogląd. Jednak brak wam nauki. Używacie powielanej wiedzy przekazanej przez przodków. Ponieważ nie ma już paliw kopalnych, opieracie się na pracy mięśni; w sposób nieunikniony wynika z tego klasa peonów. Ponieważ wyczerpały się złoża żelaza i miedzi, zdobywacie te metale ze starych ruin. Na waszej ziemi nie widziałem śladów prób wykorzystania siły wiatru, światła słonecznego, rezerw energetycznych żywych komórek, nie wspominając już o teoretycznej możliwości przeprowadzenia reakcji termojądrowej bez inicjatora uranowego. Nawadniacie pustynię, co wymaga tysiąckroć większego wysiłku niż założenie farm morskich, a jednak nawet nie spróbowaliście udoskonalić waszych technik polowu. Nie wykorzystujecie aluminium, które wciąż jest w obfitości w zwykłej glinie, nie próbowaliście sporządzić z niego mocnych stopów. Nie, wasi farmerzy używają narzędzi z drewna i wulkanicznego szkła.

Och, nie jesteście głupi ani zabobonni. Brak wam jedynie umiejętności poszukiwania nowej wiedzy. Jesteście wspaniałymi ludźmi; wasz świat jest przyjazny; kocham was tak samo mocno, jak mocno brzydzę się tym diabłem stojącym przed wami. Lecz ostatecznie, przyjaciele, jeśli pozostawi się was samym sobie, z wdziękiem powrócicie do epoki kamiennej.

Poczuł się nieco lepiej. Podniósł głos.

- Droga, którą podążają Ludzie Nieba, to wyboisty szlak do gwiazd. Pod tym względem - a przy nim wszystkie pozostałe są nieważne - są bardziej podobni do nas, Maurai, niż wy. Nie możemy pozwolić zginąć naszym pobratymcom.

Usiadł, otoczony milczeniem, za całą odpowiedź mając uśmiezek Lo-klanna i nieruchome spojrzenie Dónoju.

- Czy to pańskie ostatnie słowo, s'ńor? - odezwała się w końcu z głębi cienia Tresa, bardzo cicho.

-Tak.

Odwrócił się ku niej. Kaptur zsunął się lekko, tak że jej twarz dosięgło światło świec. Widok zielonych oczu i rozchylonych warg przywrócił mu radość zwycięstwa.

Uśmiechnął się.

- Nie oczekuję, że od razu pani zrozumie. Czy będę mógł porozmawiać z panią o tym jeszcze, jak najczęściej się da? Kiedy zobaczy pani nasze Wyspy, co mam nadzieję nastąpi...

- Ty cudzoziemcze! - krzyknęła. Wymierzyła mu policzek i uciekła z sali.